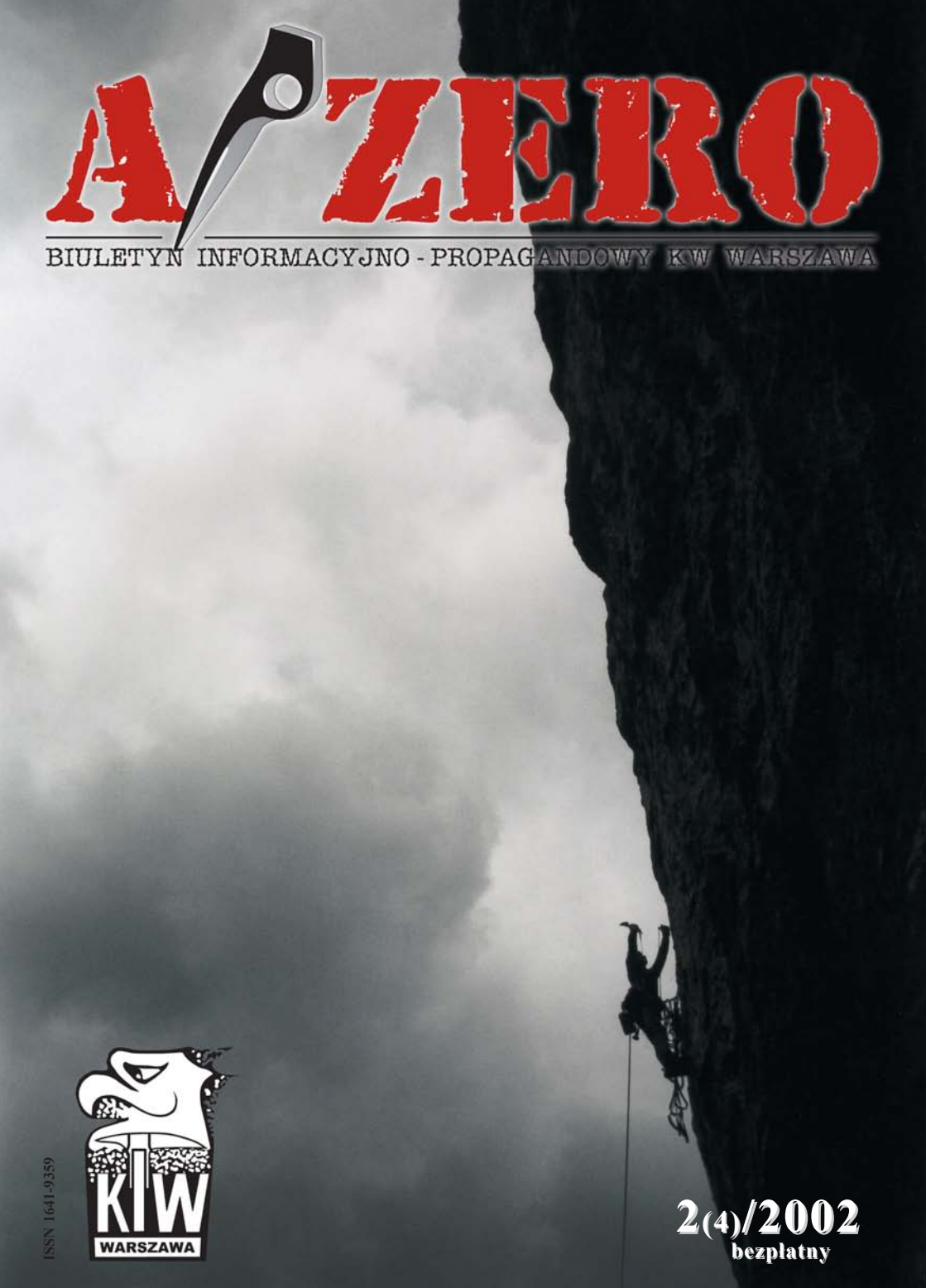
A/ZERO

BIULETYN INFORMACYJNO - PROPAGANDOWY KW WARSZAWA



KW WARSZAWA

ISSN 1641-9359

2(4)/2002
bezpłatny

WIĘCEJ BESTII



- LION GIGANT to szansa na GIGANTyczne zyski dla Twojego sklepu
- Konsumenci chętnie sięgają po produkty "powiększone"
- Produkt wspierany kampanią reklamową
- Atrakcyjna cena na półce 1,19 to zachęta dla konsumentów
- UWAGA! Oferta limitowana, dostępna do wyczerpania zapasów

KUP TERAZ!

Nestlé Polska S.A. Oddział w Poznaniu, 60-957 Poznań, ul. Św. Wawrzyńca 11, tel: (061) 846 73 00
www.lion.pl

"Książka wyjść"

Słowo od Prezesa 4
Lato w „Szamoniksie" 5
Eiger - schemat *Drogi klasycznej* 8
Szkoła czekania, czyli góra pełna śniegu 10
Górska inicjacja 20
Nas nie dogoniat 22
Morze marzeń 27
Finale Ligure 32
Patagonia - omówienie sezonu 2001/2002 cz. 2 36
Trzy wieże 38
Rozmowy niekontrolowane - Kuba Ziółkowski 44
Jak zostałem Alpinistą c.d. - Na właściwym kursie 48
Stare jaja 50
Z książeczką walutową do NRD - czyli ... 52
Małołącka rapsodia 58
Tatrzańskie lato A.D. 2002 62
Alpejski przekładaniec pogodowy 2002 73
Recenzje 74
Ach co to był za ślub... 75
Komunikat Zarządu KW W-wa 76
Nějaká sranda 77
Ważne i ciekawe 78
Informacje KW Warszawa 79













A/Zero - Biuletyn Informacyjno - Propagandowy KW Warszawa
Nr 2(4)/2002
ISSN: 1641-9359
Wydawca: Klub Wysokogórski Warszawa
Redakcja: Marek Libront, Artur Paszczak, Mariusz Wilanowski
Do powstania numeru przyczynili się: Borys Binkowski, Piotr Bucki, Marcin Chmieliński, Marek Czyżewski, Fnuc, Rolando Garibotti, Grzegorz Głazek, Szczepan Głogowski, Jan Gondowicz, Paweł Karczmarczyk, Bogusław Kowalski, Paweł Kozłowski, Maciek Kubera, Kursant, Małgorzata Laskowska, Jarek Mazur, Piotr Morawski, Jan Muskat, Piotr Panufnik, Anna Samocka, Stefan Siegrist, Andrzej Skłodowski, Michał Wański, Krzysztof Wasilewski, Jakub Ziółkowski, Michał Ziółkowski.
Kontakt z redakcją:
e-mail: mariusz.wilanowski@bgk.com.pl i marek.libront@citicorp.com

W biuletynie piszemy o sportach nie zawsze bezpiecznych dla Waszego zdrowia. Pamiętajcie, robicie to na własne ryzyko. Zespół redakcyjny nie ponosi żadnej odpowiedzialności za jakiekolwiek wypadki powstałe podczas uprawiania sportów propagowanych na łamach A/Zero. Nie próbujcie tego w domu!

Okładka: Grzegorz Bittmar na drodze *Przyjdźmy tutaj z dziewczynami* IV A2+; Organy, Dolina Kościeliska
fot. Jarek Mazur

Słowo od Prezesa



Niedawno wróciłem z Sardynii, gdzie pojechałem za namową naszego klubowego kolegi Chmiela, którego z kolei namówił kolega Bucek (świeżo upieczony małżonek - gratulacje!). W pewnym sensie podążałem więc przetartym szlakiem, tym bardziej, że nie wypuszczałem z rąk poprzedniego numeru A/zero. Podobnie zresztą jak nasi przyjaciele z klubu łódzkiego, którzy też włączyli nasz magazyn do swego „survival kitu".

Było to miłe przeżycie - wykreślona przez Chmielów trasa wycieczki okazała się po prostu kapitalna, opisy rejonów - precyzyjne i praktyczne, a wspinanie - niezapomniane. Artykuł w A/zero okazał się ogromnym ułatwieniem, co wywołało moja refleksję, że przyjemnie jest móc liczyć na rzetelność swoich kolegów. Bardzo mnie to zachęciło do odwiedzenia kolejnych rejonów, oczywiście tych opisanych w A/zero.

Wracając do kraju rozmyślałem już o naszym klubowym lokalu, którego remont zacznie się lada chwila. Ucieszyła mnie wiadomość, że koledzy z UKA i Speleo deklarują wolę wspólnej pracy i gotowi są przekazać wygospodarowane fundusze, oraz że przyłącza się do nas PZA. Ponieważ na razie trwają prace przygotowawcze, projekty, uzgodnienia - jeszcze nie trąbimy wsiadanego, lecz niedługo przyjdzie już czas, by zakasać rękawy. Trochę się martwiłem, czy sami podołamy, jednak kolejny raz okazało się, że można liczyć na naszą wspinaczkową wspólnotę.

Przejęty tym duchem środowiskowego ekumenizmu wpadłem w sam środek dyskusji, która w ostatnim miesiącu wstrząsnęła naszym internetem. Dyskusji wywołanej artykułem Grześka Skorka i listem otwartym Roberta Siekluckiego. Skłoniła mnie ona do refleksji na temat wartości, która jest jedną z najważniejszych (a może wprost najważniejszą) w naszym wspinaczkowym gronie.

My sobie po prostu ufamy.

Wierzymy, gdy ktoś mówi, że zrobił drogę, w takim czasie, w takim stylu, że wszedł na szczyt. Nie sprawdzamy sobie papierków, nie żądamy potwierdzeń wykazów przejść, świadków, komisji, dowodów. Zwróćcie uwagę, że w każdym innym środowisku jest inaczej. Często słyszę pytania postronnych - „a skąd wiadomo, że on tam był?" I zawsze odpowiadam - „bo tak powiedział". My wiemy, że w razie potrzeby koledzy przyjdą nam z pomocą w każdej sytuacji. Idąc w góry jesteśmy tego pewni. Jest to dla mnie najlepsza cecha naszego środowiska i przynosi nam ona dumę.

Ostatnio jednak właśnie zaufania zabrakło. Choć paradoksalnie - od zaufania się zaczęło. Jedni koledzy nie przeczytali artykułu swego młodszego towarzysza wyprawy, a ten napisał go nieco od rzeczy. Drudzy zaś - wyciągnęli z tego swoje wnioski i przedstawili je publicznie, zapominając chyba o zaufaniu należnym swoim przyjaciołom.

Bardzo wiele osób zajęło w tej dyskusji ostre stanowisko, a skrajnych opinii wygłoszono całe mnóstwo. Wszyscy zainteresowani wyrazili swój żal z tego powodu, jednak przykre słowa już padły, choć z całą pewnością paść nie musiały. Zaufanie, będące spoiwem naszego środowiska, zostało naruszone.

Mam takie prywatne przekonanie, że warto sobie nawzajem wierzyć. Tak po prostu wskazuje praktyka. Wśród nas naprawdę mało jest ludzi przypadkowych. Choćby z tego powodu warto zawsze zakładać, że zasłyszane złe opinie są zniekształcone lub przesadzone.
Bo najczęściej - tak się potem okazuje.

Artur

Ps. Z tego wszystkiego nie zapominajmy o zimowej wyprawie na K-2. Trzymajcie kciuki za wszystkich chłopaków, a szczególnie za trójkę z KW Warszawa (Jurka, Marcina i Piotrka). Wychodzi na to, nasz klub to himalajska potęga.

Lato w "Szamoniksie"



fot. arch. Michał Ziółkowski

Michał Ziółkowski (Doktor) na drodze
Le Marchand de Sable, 6a+ (300m), Tour Rouge

Lato w "Szamoniksie", tekst: Piotr Bucki

W dniach 22.07-08.08.2002 odbył się letni obóz klubowy w Chamonix. Wbrew wcześniejszym zapowiedziom frekwencja nie dopisała toteż mało przypominał on imprezę zorganizowaną (patrz tegoroczny obóz zimowy), a bardziej zwykły wyjazd towarzyski. Przez trzy tygodnie przewinęło się łącznie dziewięć osób z KWW: Arek Arak, Piotr Bucki, Marcin Chmieliński, Marek Czyżewski, Konrad Parzych, Sławek Pawłowski, Paweł Przybysz, Krzysztof Wasilewski, Michał Ziółkowski. W drugiej części skład został powiększony przez Jarka Bonka, Tomka Fiedorowicza i Kasię Okuszko ze Speleoklubu Warszawskiego.

Obóz miał dwie wyraźne części, uwarunkowane pogodą. Przez dwa tygodnie dobra pogoda pozwalała zasadniczo na nieprzerwaną działalność w skale. Jedynym problemem mogła być tylko izoterma zero utrzymująca się powyżej 4000 metrów powodująca rozpuszczanie i sypanie się większości dróg mikstowych. Walące się głazy i seraki sprawiały pewne trudności na niektórych podejściach, a zwłaszcza w czasie popołudniowych odwrotów. Czas ten został wykorzystany na rozwspinanie się w pięknym granicie alpejskim tak innym od tatrzańskiego, a nowym dla części kolegów (ach te rysy, przerysy, rajbungi po kryształach!). Oczywiście, jak to w górach bywa, wraz z przyjściem formy skończyła się pogoda i wielkie góry oddaliły się w deszczu.

Pojawiły się dwa style działania. Kilkudniowe wypady w górę i powroty do bazy na campingu Les Marmottes, pozwalające na korzystanie z uroków miasta (cywilizacja, sklepy, gorący prysznic, wino) - styl preferowany przez większość. Sławek i Konrad przyjęli styl ciężki- transport zapasów na Plan i atakowanie stamtąd wybranych celów. Na pewno tańszy, lecz pozwalający na podziwianie uroków Chamonix wyłącznie z góry. Załamanie się pogody, potwierdzone francuskimi prognozami i SMS-ami z kraju spowodowało szybki odwrót większości ekipy najpierw w Vercory, a później dalej na południe Francji. Załamanie było na tyle długotrwałe, że pozostała w Alpach dwójka zdołała zrobić już tylko jedną drogę w przerwie między opadami.

Michał Wański w górnej części *Filara Frendo*, Aiguille du Midi



fot. arch. Michał Wański

Wykaz przejść:

Konrad Parzych i Sławek Pawłowski:
Gendarme of the Peigne:
Arete des Papillons D (250m) 5+
Les Lepidopteres D (180m) 5-
Aiguille du Peigne:
Voie Contamine TD (400m) 5+
Red Pillar of the Aiguille de Blaitiere:
Nabot Leon TD (180m) 5+
Les Diamants du Presidente TD (180m) 6a
Tour Verte:
Le Piege TD+ (200m) 6a

Piotr Bucki i Marcin Chmieliński:
Aiguilles des Grands Charmoz:
Pilier Cordier TD- (650m) 5+ (niestety tylko do półek- 2/3 drogi).
Red Pillar of the Aiguille de Blaitiere:
Nabot Leon TD (180m) 5+
Premiere Pointe des Nantillons:
Bienvenue Georges V TD+ (350m) 6a+
Tour Rouge:
Le Marchand de Sable TD+ (300m) 6a+
Aiguille de Roc:
Sonam D (200m) 5

Marek Czyżewski i Michał Ziółkowski:
Red Pillar of the Aiguille de Blaitiere:
Nabot Leon TD (180m) 5+
Aiguille de L`M.:
Voie Couzi TD- (200m) 5
Premiere Pointe des Nantillons:
Amazonia TD (280m) 6a
Tour Rouge:
Le Marchand de Sable TD+ (300m) 6a+ (wycof po dziewięciu wyciągach).

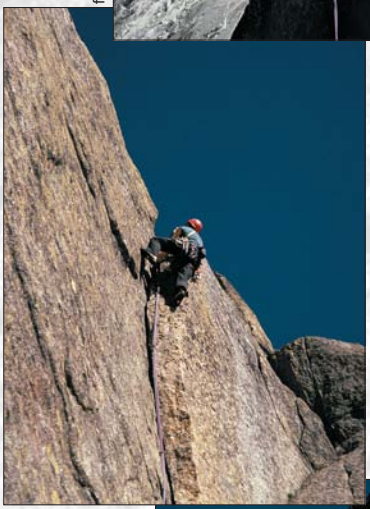
Arek Arak i Paweł Przybysz:
Gendarme of the Peigne:
Esperon Nord D+ (300m) 5

Vercors (Presles):
Kit ou Doble TD (250m) 6a+, A. Arak, P. Przybysz, M. Czyżewski, M. Ziółkowski (górna część własnymi wariantami botanicznymi).
La Memoire des Absents TD+ (280m) 6c, P. Bucki, M. Chmieliński.
Nosferatu TD+ (200m) 6b+, T. Fiedorowicz, J. Bonk, K. Okuszko.

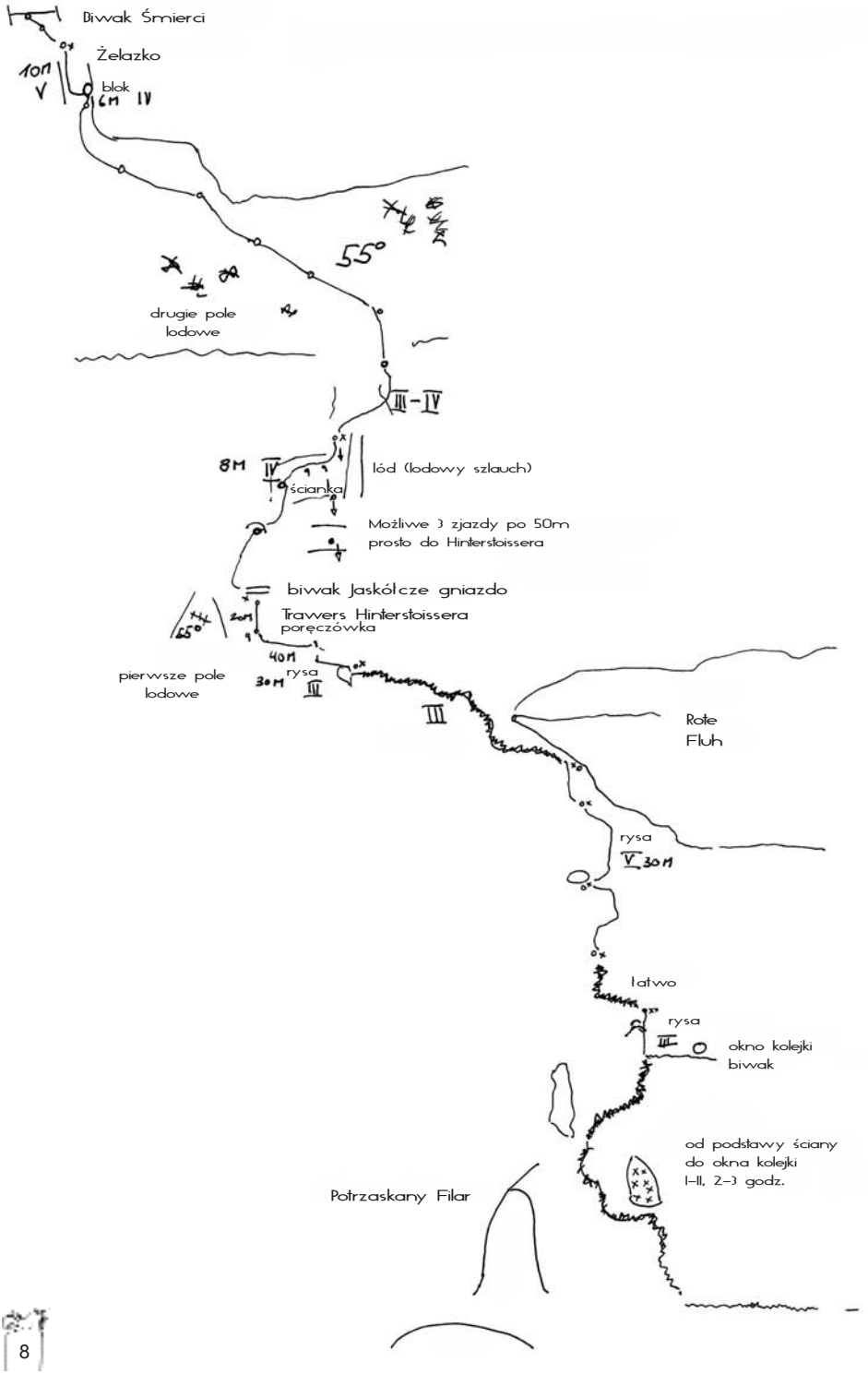
Oprócz tego wspinano się skałkowo w takich rejonach jak Saou, Buis-Les-Baronnies, La Beaume Rousse, Dentelles de Montmirail, Val de Meouge, Orpierre gdzie głównie w klasycznym stylu OS pokonano około stu dróg o trudnościach do 7a.

Od redakcji:
W tym samym czasie w rejonie Chamonix działała jeszcze dwójka wspinaczy z KW - Michał Wański i Łukasz Krajnik Chłopcom udało się zrobić na Aiguille du Midi *Filar Frendo* (5, 65°, 1000m) a dodać trzeba, że była to ich pierwsza alpejska droga.


fot. arch. Michał Ziółkowski

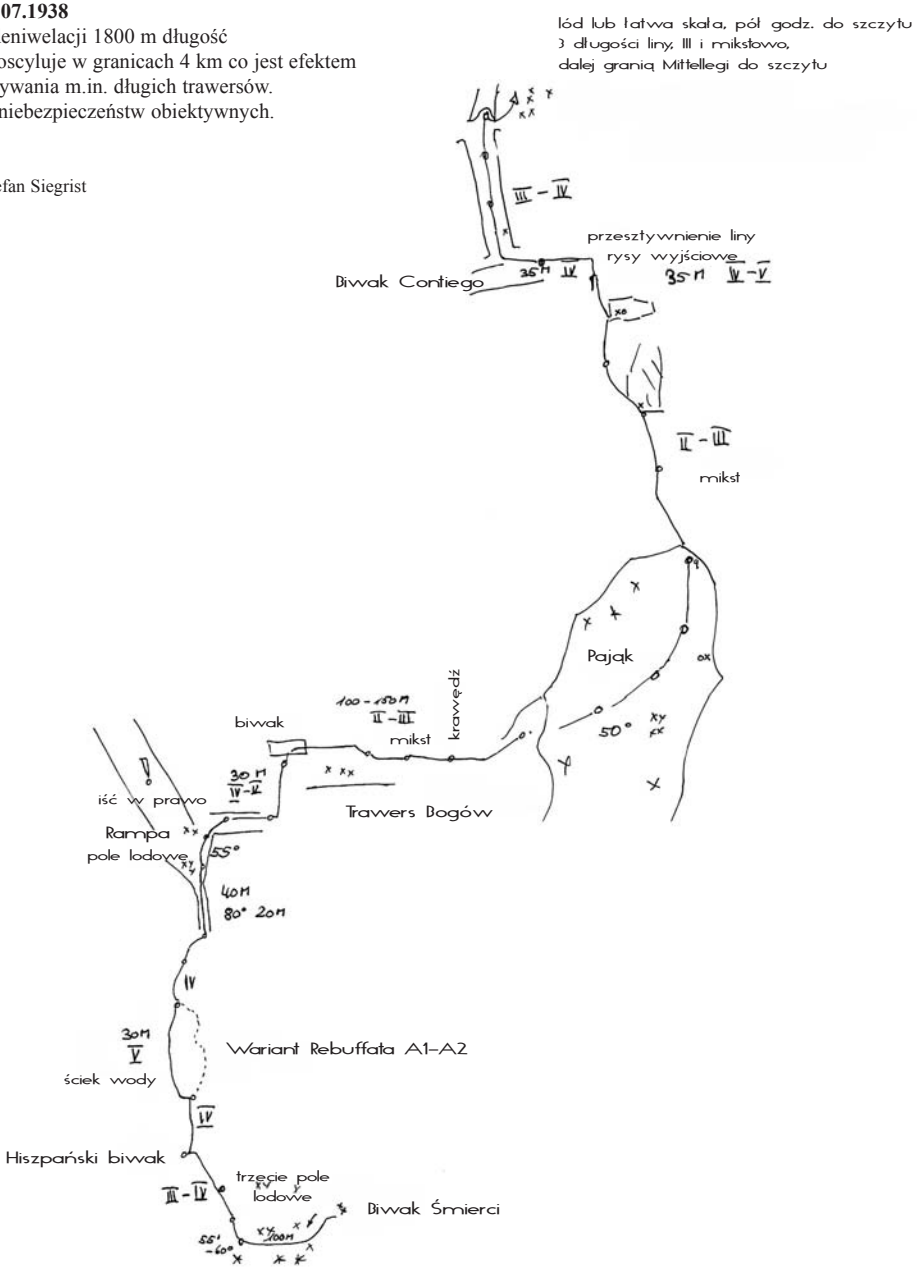

fot. arch. Michał Ziółkowski


fot. arch. Michał Wański


Biwak Śmierci
Żelazko
10m V
blok 6m IV
55°
drugie pole lodowe
III-IV
8m IV
lód (lodowy szlauch)
ścianka
Możliwe 3 zjazdy po 50m prosto do Hinterstoissera
biwak Jaskółcze gniazdo
Trawers Hinterstoissera
poręczówka
2m
55°
40m
30m
rysa
III
pierwsze pole lodowe
III
Rote Fluh
rysa
V 30m
łatwo
rysa
III
okno kolejki biwak
od podstawy ściany do okna kolejki I–II, 2–3 godz.
Potrzaskany Filar

EIGER
***Droga klasyczna*, V A0**
A. Heckmair, H. Harrer, F. Kasparek, L. Vörg
21-24.07.1938
Przy deniwelacji 1800 m długość
drogi oscyluje w granicach 4 km co jest efektem
pokonywania m.in. długich trawersów.
Dużo niebezpieczeństw obiektywnych.

rys. Stefan Siegrist



Szkoła czekania, czyli góra pełna śniegu

Tekst i zdjęcia: Piotr Morawski

Szybko do celu

Drogę mamy już opracowaną. Wcześniej zamawiamy bilety lotnicze w biurze Kyrgyzstan Airlines w Moskwie. W Warszawie kupujemy bezpośredni bilet kolejowy do Moskwy. W efekcie po 22 godzinach jazdy docieramy do Dworca Białoruskiego, całkiem niedaleko od Placu Czerwonego, dalej metrem gnamy na lotnisko Domodedovo. Lecimy troszkę podniszczonym samolotem, na szczęście jedzenie podają ciepłe. Cztery godziny lotu i już jesteśmy w Biszkeku. Tu już czeka na nas człowiek, który wręcza nam niezbędne do poruszania się po Kirgizji i jej strefach przygranicznych dokumenty. Wskakujemy w autokar do Karakołu. Jedziemy całą noc. Po kolejnych 5 godzinach telepania się przez góry i przełęcze troszkę rozwalonym łazikiem (oczywiście z napędem 4x4) jesteśmy w bazie wojskowej i turystycznej w Majdaadyrze. Tu krótkie przepakowanie. Zostawiamy większość sprzętu zimowego (poleci śmigłem do bazy), a sami wyruszamy w drogę z niezbędnym na kilka dni samotnego marszu wyposażeniem. Powoli zapada zmrok, a my szybko posuwamy się do przodu. Około północy jesteśmy 17 kilometrów dalej, w Andżajlo, ostatniej ludzkiej, kilkudomowej przystani przed bazą. Jeszcze tylko trzy dni wytężonego marszu i jesteśmy pod Chan Tengri (6995 m), i Pobiedą (7439 m). Nasze bagaże już na nas czekają.

Krecia robota, czyli tam i z powrotem

Rano wstajemy pełni werwy, pakujemy wory i z pierwszą częścią ładunku ruszamy na lodowiec Zwiezdoczka, który wypływa prosto spod stóp Pobiedy. Mijamy drugą bazę, dwa głębokie uskoki, jezioro płynące pomiędzy skalistymi morenami i jesteśmy na prostej drodze ku górze. Wchodzimy na skalistą morenę, która przez dłuższy czas prowadzi łagodnym łukiem. Po kolejnej godzinie okazuje się, że śniegu w tym roku jest całkiem sporo. Coraz mniej kamieni, coraz gorzej z poruszaniem się. Po kolejnych żmudnych kwadransach staje się jasne, że w tym roku jeszcze nikt pod Pobiedę nie chodził...

Brniemy jednak dalej, pełni zapału. Śniegu coraz więcej, nasze kroki coraz wolniejsze. Zaczyna się żmudne torowanie. Krok za krokiem wybijamy sobie drogę pod ścianę, do obozu I. Pik Pobiedy jaśnieje przed nami, skąpany w oślepiających promieniach słońca. Plecaki zaczynają ciążyć, oddech staje się coraz krótszy. Marcin jeszcze mówi, że do jedynki można dotrzeć w jeden dzień... pod warunkiem, że ktoś wcześniej wytyczył i przetorował szlak. Zagłębiamy się pomiędzy szczeliny, jeziora i seraki. Po jedenastu godzinach kapitulujemy i rozbijamy namiot. Ściany Pobiedy wydają się być tuż, tuż, na wyciągnięcie ręki.

- *To tylko złudzenie, jeszcze mnóstwo drogi* - wzdycha Marcin.

Ma rację. Następnego dnia czekają nas kolejne godziny torowania. W okolicach południa docieramy do wielkiego, śnieżnego pola, gdzie zakładamy upragnioną jedynkę. Jest mroźno i pięknie. Pik Pobiedy góruje pełen słońca nad nami, biała, świecąca równina rozpościera się dookoła nas. Wdychamy czyste, chłodne powietrze, wpatrzeni w oświetlony szczyt. Przed nami widnieje lodowa ściana, nad którą piętrzy się groźny wał seraków. Jutro trzeba znaleźć i wytyczyć pomiędzy nimi drogę.

Wieczorem zaczyna delikatnie prószyć śnieg. Pada całą noc, cały następny dzień. Leżymy bezczynnie, czekamy na jakiś wiatr, który rozpędzi zgromadzone nad nami chmury.



Samotny namiot pod Pobiedą



Piotr w drodze do góry. W tle od lewej Pik Gorkiego, Pik Czapajewa, Chan Tengri

Co pewien czas trzeba wyjść z namiotu, chwycić za łopatę i odkopywać. Kolejna noc również upływa wśród miarowego, cichego chrzęstu. Dopiero poranek wstaje mroźny, ale słoneczny. Śniegu przybyło mnóstwo... Teraz już nie jesteśmy w stanie przebić się przez zasypane seraki. Znów czekamy cały dzień w namiocie. Może słońce podtopi trochę śnieg, on opadnie, w nocy przymarznie i szybko polecimy do bazy, jak po lodowej tafli. Ranek wita nas całkiem sporym mrozem. Nasze ślady znikły. Ruszamy na dół... powoli brnąc w głębokim, sypkim śniegu - tylko na powierzchni zamarzł odrobinę. Znowu mozolnie wybijamy nasze ślady, tym razem w dół, żeby chociaż znaleźć cień naszego starego przejścia. Nic z tego. Ponownie musimy odszukać drogę pomiędzy szczelinami, jeziorami i serakami.

Tak przywitała nas Pobieda: śniegiem i oczekiwaniem. Zmordowani dotarliśmy pod wieczór do bazy. Przespaliśmy jedną noc i znowu ruszyliśmy do góry. Do naszej jedynki. Na szczęście tym razem idziemy po swoich śladach. Na miejsce docieramy w 7 godzin bez większego problemu. Znów z nadzieją patrzymy na drogę poprzez seraki.

Oby nie runął

Pobudka jak zwykle o czwartej rano. Na dworze jeszcze ciemno. Po omacku wyczołgujemy się ze śpiworów, zakładamy kurtki, rękawiczki, skorupy, ochraniacze i uprzęże. W namiocie powoli robi się cieplej od pracujących ludzkich ciał. W świetle czołówek jemy śniadanie. Jest mroźno, powinno być dzisiaj słonecznie. Wypełzamy na zewnątrz. Chłód przenika pod kurtki. Grań Pobiedy ledwie oświetlona, seraki jeszcze w cieniu. Z naszego namiotu widać tylko pionową ścianę zwieńczoną murem wiszących olbrzymów, pomiędzy które musimy się wbić. Jeszcze w zeszłym roku były tam poręczówki, ale po zimie zapewne wszystkie zmiotło i zasypało.

Po krótkiej wędrówce w kopnym śniegu jesteśmy pod ścianą. Teraz już nie prezentuje się tak groźnie jak z jedynki. Patrzymy tylko uważnie na wiszące lodowe zwały, które wyglądają tak, jakby miały zaraz na nas spaść. Wkraczamy na wielkie lawinisko. Niedawno, tuż po opadzie śniegu, któryś z seraków runął.



Marcin w poszukiwaniu pięciogwiazdkowej jamy

Zauważamy głęboką szczerbę pomiędzy lodowymi zwałami, już wiemy którędy będzie wiodła nasza droga. Oby tylko słońce za mocno nie przygrzało...

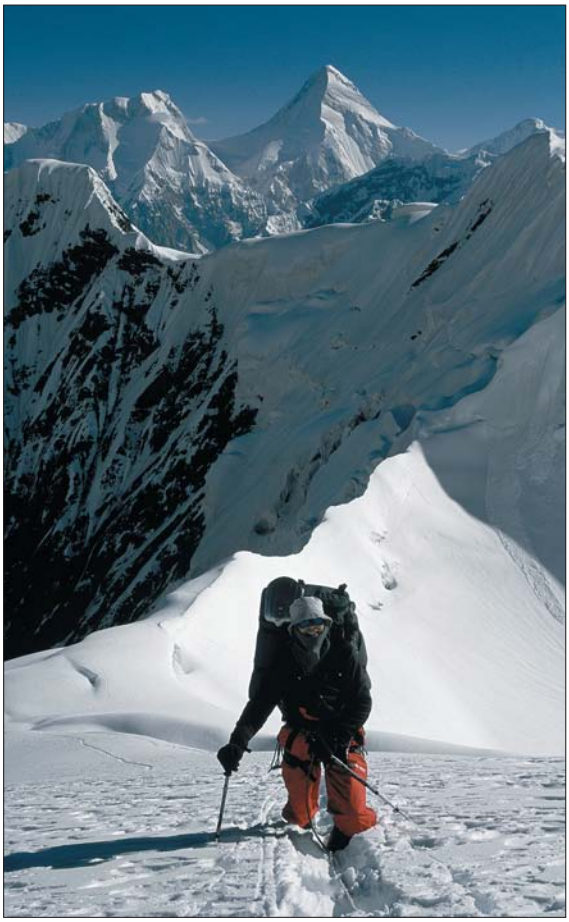
Całkiem sprawnie ruszamy z lotną do góry, po lodowej ścianie. Co pewien czas poważniejsze spiętrzenie, wkręcamy śrubę i idziemy dalej. Lękliwie spoglądam na wielki serak, wiszący dokładnie nad nami. Coraz bliżej naszych głów. I na szczerbę, jakieś 10 metrów na lewo od niego.

- *Oby nie runął... oby nie runął...* - szepczę do siebie po cichu.

W końcu dochodzimy pod groźnego kolosa. Marcin szybko trawersuje i znika za zwałami lodu. Coś zatrzymuje go w szczerbie. Mam stanowisko tuż pod wielkimi soplami i zwałami lodu. Słońce grzeje już od dawna, coraz częściej kapią na mnie wielkie krople wody. Zza załomu słyszę tylko chrzęst śniegu, ciężki oddech i stłumione przekleństwa. W końcu lina trochę drgnęła i w tym samym momencie za moimi plecami rozległ się potężny huk. Ze dwieście metrów ode mnie zasyczało gwałtownie poruszone powietrze, zafalowało i wielki serak, wysokości ponad 50 metrów, runął w dół. Zamarłem, kiedy zobaczyłem tony lodu częściowo przecinające naszą poranną drogę. Po chwili lina raźno skoczyła do góry. Czas ruszać. Założyłem plecak i bez żalu pożegnałem się z serakiem, pod którym stałem. Jeszcze kilka godzin torowania w sypkim, zupełnie nie zmarzniętym śniegu i docieramy na całkiem spore wypłaszczenie pod przełęczą Dziki (około 5000 metrów). Chwila odpoczynku, potem pół godziny pracy łopatą i platforma pod namiot gotowa. Jest cicho i pusto. Jesteśmy sami. Rozbijamy namiot, rozkładamy nasze śpiwory, żeby się wysuszyły, wytapiamy wodę. Założyliśmy obóz II- naszą bazę wysuniętą.

Śnieżna grań

Rankiem ze zdziwieniem obserwujemy, że do tej pory nie mamy objawów choroby wysokościowej, żadnego bólu głowy, czy mdłości. Krótka walka z zamarzniętym wyjściowym suwakiem i już stoimy na trzeszczącym śniegu. Mróz znów wciska się pod ubrania, przyspieszamy więc ruchy. Pakujemy plecaki, zwijamy namiot, zakładamy raki, wiążemy się



Marcin z piramidą Chan Tengri w tle

liną i jesteśmy gotowi. Ruszamy ku przełęczy, od której dzieli nas około 200 metrów całkiem ostrego podejścia. Tuż pod przełęczą Marcin zapada się prawie po pas... Chwilę później z trudem wychodzę z ponad metrowej dziury. Od tego momentu jest już coraz gorzej. Zziajani docieramy do oświetlonej słońcem przełęczy. Przed nami widnieje długa, dosyć niewinnie wyglądająca śnieżna grań. Zaraz nad nią zaczyna się skalne żebro, już na poziomie 5900 metrów. Chcemy tuż pod nim założyć obóz III. Co roku ludzie kopią tam jamy. Teraz jesteśmy sami, pierwsi w sezonie na górze. Przy takim nawale śniegu raczej nie znajdziemy starych jam. Skalna grań poprzecinana jest śnieżnymi polami aż do samego wierzchołka zachodniego, na poziom około 7000 metrów. W pełnym słońcu wszystko wydaje się takie bliskie, na wyciągnięcie ręki.

Ruszamy. Powoli, z ciężkimi plecakami, wybijając mozolnie drogę w coraz głębszym śniegu. W niektórych momentach trzeba przystanąć, zrzucić plecak, wyciągnąć łopatę i kopiąc przebrnąć przez głębszy lub trudniejszy fragment. Od razu do głowy powracają opinie na temat Pobiedy, że dwoje ludzi to za mało, że trzeba kilku, kilkunastu silnego chłopa, by szybko zastępować tych, którzy się zmęczyli. Siłą wyorać głęboką transzeję.

My we dwóch. Coraz częściej zmiany, coraz częściej postoje. Za każdym wzniesieniem oczekujemy chociaż wypłaszczenia. Niestety... brniemy stromo w głębokim śniegu, wciąż wyżej i wyżej. W końcu opadamy z sił. Jeszcze zostało nam ze sto metrów do góry, do wielkiego pola śnieżnego - miejsca naszego przewidywanego obozu. Siadamy, robimy sobie coś do jedzenia, odpoczywamy ponad godzinę. W końcu wstajemy, zostawiamy plecaki i na lekko torujemy ostatni odcinek. Wracamy po wory i już trochę łatwiejszą drogą ruszamy. Dopiero jakieś półtorej godziny od zakończenia posiłku jesteśmy na miejscu.

Marcin zaczyna kopać jamę, ale po chwili obydwaj zgadzamy się co do tego, że do zmroku zostało już mało czasu - za mało na zrobienie wygodnej, obszernej jamy. Potrzebujemy jeszcze co najmniej godziny na wykopanie platformy pod namiot, rozstawiamy go i wymęczeni wpełzamy do środka. Obiad przygotowujemy z rozsądku, nie za bardzo chce nam się jeść.

Zapewne zarówno ze zmęczenia, jak i z powodu wysokości. W nocy znów słyszymy charakterystyczny chrzęst, znowu pada...

Z trójki do obozu I wracamy dość szybko. Mijamy przełęcz Dziki, kopiemy się jeszcze w śniegu ze dwie godziny, aż osiągamy seraki. Po drodze nie spotykamy żywej duszy.

Znowu torowanie

Kolejny dzień to szybki marsz do dwójki i spokojna noc. Poranek, na szczęście, wstaje słoneczny. Przełęcz Dziki wygląda tak, jakby była nie tknięta ludzką stopą. W trakcie mozolnego marszu, w kluczowych momentach widać nieznacznie nasze stare ślady. Ułatwia to trochę wchodzenie, ale i tak wymordowani docieramy do trójki.

Następnego dnia krótkie, ale bardzo treściwe podejście pod skały i poręczówki. Śnieg w niektórych momentach sięga powyżej pasa. Odkopujemy stare liny, ostrożnie obciążam jedną z nich. Urywa się z cichym trzaskiem. Wyżej poręczówki są jednak w trochę lepszym stanie. Na około 6000 zaczyna padać śnieg. Kawałek wyżej rozciąga się pole śnieżne. Po krótkich próbach pracy z plecakami, zrzucamy je i torujemy na lekko. W ciągu kolejnych kilku godzin pokonujemy trochę ponad 100 metrów do góry. Mieliśmy dzisiaj w planach dojście na 6400. Niestety, musimy zatrzymać się niecałe 200 metrów poniżej. Mgła gęstnieje, zakładamy obóz IV. Śnieg sypie już na całego. Po kilku godzinach, już po zmierzchu, trzeba nas odkopać.

Zaledwie jedna noc

Gdzieś w środku nocy przestaje padać. Wzmaga się za to wiatr, który z zawrotną prędkością roznosi ten diabelny biały pył po całej górze. Co pewien czas budzę się i spokojnie obserwuję, jak nasz namiot coraz głębiej pogrąża się w śniegu. Ciemno w namiocie, jak na godzinę piątą rano. Wiatr nadal wali w nas śniegiem. Dopiero po chwili zorientowaliśmy się, że jesteśmy całkowicie zasypani, po czubek namiotu. Tylko kawałek jednej ściany wystaje i właśnie o niego tak dudni wiatr.

Żeby wyjść, trzeba najpierw wepchnąć śnieg do środka namiotu. Długo siłuję się z zamarzniętym suwakiem, potem szukam łopaty. Powinna gdzieś być w przedsionku. Po jej odnalezieniu rozpoczynamy wrzucanie śniegu do środka, do momentu, aż pokazało się białe niebo. Mozolnie wypełzam poprzez mały otwór, w końcu oswobodzony stoję przy zmiażdżonym i sponiewieranym namiocie. Wiatr zacina nieprzyjemnie, śnieg wciska się wszędzie. Na szczęście szybciej odkopuję, niż wiatr zasypuje. Po ponad godzinie udaje mi się odsłonić chociaż trzy czwarte namiotu. Tak, by go wydobyć spod białych zwałów i zwinąć. W tych warunkach pakujemy się ponad dwie godziny i zaczynamy schodzenie. Krajobraz zmieniony nie do poznania. Z trudem opuszczamy nasze małe, strome i śnieżne pole, brodząc w śniegu czasem nawet po pachy. Odnajdujemy pierwsze poręczówki. Kiedy szliśmy do góry, śnieg sięgał nam najwyżej do połowy klatki piersiowej. Teraz... brodząc, wręcz płynąc, powoli posuwamy się na dół. Coraz wolniej i wolniej, śnieg wysysa z nas wszystkie siły. Doczłapaliśmy cali zasypani i wycieńczeni do obozu II.

Okazało się, że nie jesteśmy już sami. Przybyli Rosjanie i Czesi oraz pewien Gruzin z Hiszpanką. Rano sześć osób wyruszyło na przełęcz po naszych śladach. Patrzyliśmy, jak ochoczo ruszają do góry. Po kilku godzinach czwórka z nich wróciła. Urobili około 200 metrów. Pozostała dwójka pięła się do góry przez resztę dnia. Dotarli na około 5600, przespali jedną noc i następnego dnia zawrócili do bazy.

Siedzimy nadal w obozie II. Ten cholerny śnieg zupełnie popsuł nam humory. A jeśli przeczekamy śnieg i po kilku dniach zaatakujemy, może nam nie starczyć jedzenia. Po paru godzinach spędzonych w ponurej atmosferze, zapada decyzja: schodzimy do bazy, zabieramy resztki jedzenia, które tam zostały, potem jeszcze raz próbujemy. Będzie to kilka dni zwłoki, może śnieg do tego czasu osiądzie choć trochę. Zmęczenie nie poprawia naszych humorów.

Przypominam sobie, jak wczoraj zeszliśmy z 6200 do dwójki. Przywitał nas wtedy Gruzin z Hiszpanką. Sokiem i kanapkami z wędliną. Świeże mięso smakowało niesamowicie, takich smakołyków nie zajadaliśmy już ponad 3 tygodnie. Wymieniliśmy się informacjami. Oni dowiedzieli się, że w tym sezonie do dwójki dotarli jako drudzy, przerwali naszą samotność. Nas najbardziej ciekawi, kto jeszcze wyruszył z bazy do góry. Udzielają nam wyczerpujących informacji, przecież są na bieżąco: czterech Rosjan, dwóch Słowaków, czterech Czechów i pięciu Koreańczyków. Ci ostatni założyli nawet poręczówki poprzez seraki.

Ostatnie wspólne decyzje

W bazie pada śnieg zmieszany z deszczem. Chowamy się w świetlicy, gdzie siedzimy do wieczora pijąc gorącą herbatę i robiąc sobie dzień obżarstwa. Tuż przed zmrokiem rozbijamy mokry namiot, wpełzamy do mokrych śpiworów i zasypiamy.

Z bazy uciekamy dosyć szybko. Jest w niej wilgotno i nieprzyjemnie. W miarę jak wschodzi słońce, chmury uciekają. Powietrze robi się powoli ciepłe i suche. Pomykamy dosyć raźno do jedynki po szerokiej transzei, dobrze widocznej, chociaż przysypanej wczorajszym śniegiem. Przypominam sobie, jak cztery tygodnie wcześniej z mozołem wybijaliśmy szlak. Teraz do jedynki dochodzimy w niecałe 5 godzin.

Noc jest bardzo zimna. Ranek wstaje bezchmurny i trzaskający mrozem. Słońce już oświetla okoliczne szczyty, w tym oczywiście Pobiedę. Jak zwykle szybko pałaszujemy śniadanie i wyruszamy. Znów wybitą transzeją raźno dochodzimy pod koreańskie poręczówki. Teraz nimi do góry około 150 metrów i w pół godziny, bez żadnej walki, jesteśmy w szczerbie. Ruszamy do dwójki.

Marcin raźnym krokiem idzie przed siebie. Co pewien czas na chwilę przystaje, odpoczywa i rusza dalej. Mimo to, coraz bardziej się ode mnie oddala. Czuję narastające zmęczenie, kumulowane od kilku tygodni. Nagle opadam z sił i ledwo dochodzę do dwójki. Leżę prawie bez ruchu kilka godzin, dopadają mnie ponure myśli i zniechęcenie. Słońce pięknie świeci nad naszymi głowami, śnieg kopny, ale jest już szansa, że opadnie. Koreańczycy powoli nadchodzą, wybijając jeszcze szerszą transzeję. Wolno, ale jak na razie skutecznie. Kiedy nadchodzi pora posiłku, podejmuję decyzję. Wiem, że na razie nie dam rady iść do góry, potrzebuję kilku dni odpoczynku dla ciała i dla umysłu. Tych kilku dni jednak nie mamy. Jeśli jeszcze chcemy marzyć o szczycie.

Przeprowadzam krótką, ale treściwą rozmowę z Marcinem. On jest w dobrej formie. Załamanie miał, gdy schodziliśmy z 6200, teraz już zdążył odpocząć. Też jest zmęczony, ale chce napierać, sam lub z Koreańczykami. Mówią, że do trzech razy sztuka. Mogę albo zostać kilka dni w dwójce, albo zejść do bazy. Rankiem następnego dnia schodzę...

Sam na sam z górą

Marcin rusza z samego rana. Cały dzień zajmuje mu żmudne torowanie. W efekcie opada z sił w okolicach 5600, rozbija namiot i zmęczony wpełza do środka. Pogoda waha się, co pewien czas przychodzą nieprzyjemne i nie wróżące nic dobrego chmury. Wieczorem docierają Koreańczycy, rozbijają obóz w sporej odległości. Przychodzą jednak do Marcina, dziękując mu za przetorowanie drogi. Rankiem Marcin na lekko przebija się pod poręczówki, wraca zmęczony do namiotu. Po dosyć długim wypoczynku rusza do góry złożyć depozyt, niestety z transzei nic nie pozostało.

Znowu pobudka o czwartej, wymarsz ku poręczówkom. W skale wspinaczka idzie żwawo. Na 6000 zaczyna się pierwsze, dosyć spore śnieżne pole. Okazuje się, że nasza transzeja sprzed dwóch tygodni jest jeszcze widoczna, została tylko przysypana. Czasem ginie, ale ogólnie da się po niej iść. Kolejny obóz na poziomie 6200, w miejscu naszego obozu czwartego.

Marcinowi sprzyja szczęście. Dużo partii skalnych i sporo torowania, ale Pobieda i tym razem jest łaskawa. Obóz tuż pod wierzchołkiem.

Następnego dnia znowu świeci słońce. Marcin wychodzi na grań, gdzie ku swojemu zdumieniu widzi, że warunki są wyśmienite. Śnieg z grani wywiało. Kolejny obóz staje na środku grani, w połowie drogi do obelisku (charakterystycznej wielkiej skały, mającej około 50 metrów wysokości), stojącego na końcu grani, a rozpoczynającego wspinaczkę na sam szczyt.

W porannej mgle, prawie po omacku, Marcin dociera do obelisku. Troszkę załamany siedzi przez pół godziny, po czym, ku jego zdziwieniu, mgła ustępuje. Pięciogodzinna wspinaczka skalną granią i partiami zbitego śniegu kończy się sukcesem. Około godziny 14-tej, po 27 dniach wyczerpującego ataku, Marcin staje na szczycie, pod nim leżą wszystkie okoliczne góry i doliny. Wiatr się wzmaga, wbija zatem tylko traser, by potwierdzić swój wyczyn i zaczyna zejście. W tym momencie Pobieda obudziła się z letargu. Wraz z wiatrem nadchodzi tak gęsta mgła, że ledwo widać własne stopy. Prawie po omacku zmęczony dociera do obelisku. Zapada zmrok. Krótkie wahanie: zostać w prowizorycznej jamie, czy ruszyć po ciemku na poszukiwanie namiotu, chociaż dawno już nie widać śladów, nie widać nawet własnych nóg... Marcin wybiera tę drugą opcję. W środku nocy z ulgą dociera do namiotu i kompletnie wyczerpany wpełza do środka. Zasypia jak kamień.


Na grani

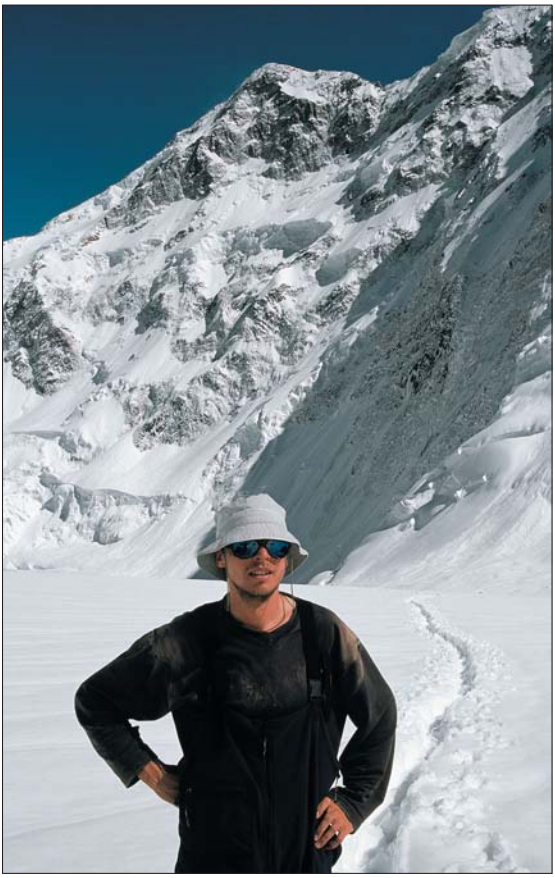
Szczyt to nie wszystko, trzeba jeszcze zejść

Nie na długo. W nocy przychodzi potężny opad śniegu. Namiot niknie pod ponad półtorametrową, białą warstwą. Ranek nie przynosi poprawy pogody. Sypie coraz gwałtowniej, wiatr się wzmaga. Namiot powoli nie wytrzymuje naporu, suwaki przestają działać, rozchodzą się całkowicie. Marcin usiłuje jakoś łatać powstałe dziury, żeby do środka nie nawiewało śniegu. Co pewien czas trzeba wyjść i odkopać namiot. Noc nie przynosi ulgi. Nad ranem zapada cisza. Śnieg całkowicie przykrył namiot. Marcin nie ma siły już nawet wyjść i odkopywać, leży czekając na poprawę, zbierając siły na zejście i zastanawiając się, ile zostało jeszcze w środku tlenu. Ale Pobieda

znowu spogląda na niego przychylnie. Zrywa się potężny wiatr, który wywiewa powoli śnieg, odkopuje zniszczony namiot. Zamek wejściowy rozpada się całkowicie, igła odmawia posłuszeństwa i w trakcie szycia łamie się.Marcin kończy uszczelnianie wejścia połówką igły i płachtą biwakową.

Następnego dnia wiatr nie ustępuje. Noc pełna wycia i szumu śniegu, walącego o ściany. Rankiem Marcin postanawia schodzić. Odkopuje podarty namiot, z trudem go składa, pakuje plecak i zagłębia się w gęstą mgłę. Idzie powoli ku zachodniemu wierzchołkowi, potem zaczyna schodzić. Nic nie widać, zbocze staje się coraz bardziej strome. Nagle wielki płat śniegu wyjeżdża mu spod nóg. Marcin osuwa się bezwładnie w białą nicość.

Zatrzymuje się dużo niżej w miękkiej zaspie. Wykopuje małą jamę - tak, by przetrwać. Wszystkie rzeczy przemoczone, zimno przenika do szpiku kości. Ku przerażeniu Marcina jego zapalniczka przestaje działać. Wyciąga zapasowe zapałki... mokre. Nadciąga noc. Wraz z nią ze zbocza schodzi kolejne obsunięcie śniegu i całkowicie zasypuje jamę. Zaczynają się problemy z oczami. Idąc we mgle Marcin kilka razy ściągnął okulary, by lepiej widzieć. Jedno oko odmawia posłuszeństwa, widać tylko czarne plamy. Rankiem wymęczony wykopuje się z jamy. Widoczność coraz lepsza. Już zorientował się, że zaczął schodzić z grani dużo wcześniej, niż powinien, dlatego poleciał. Teraz trawersuje w stronę skalnego żebra w głębokim śniegu. Po południu znowu zrywa się potężny wiatr. Przychodzi tak nagle, że Marcin nie jest w stanie rozstawić namiotu. Znów wykopuje małą jamę. Postanawia jednak schodzić. Idzie jeszcze kawałek pod górę, po depozyt, który zostawił przed wejściem na grań z zachodniego wierzchołka. Potem szybko rusza w dół, resztkami sił. Niżej wiatr jest słabszy. Nocleg już na 6200. Kolejnego dnia spokojne popołudnie pod przełęczą Dziki.



Pobieda (7439 m) i jej trzeci polski zdobywca

W bazie czeka Marcina gorące powitanie. Obserwowano jego wysiłki przez lornetkę. Koreańczycy dotarli najdalej do 6000, zostawiając po drodze mnóstwo nowych poręczówek. Ktoś jeszcze dotarł prawie na 6800. Odbieram tryumfalnego e-maila: „*W tym roku Pobieda należała tylko do mnie!*”. Wyczekał górę, przeczekał jej kaprysy, a ona dała mu na moment szansę, którą bezbłędnie wykorzystał. Słusznie ludzie powiadają, że do trzech razy sztuka...

TECHNO BEL®
THERMAL PROTECTION FABRICS

Technobel® to tkaniny techniczne nowej generacji produkowane w Stanach Zjednoczonych i we Włoszech. Super lekkie włókno o wyjątkowej sprężystości oraz specjalny rodzaj wielowarstwowej konstrukcji zapewniają utworzenie tzw. kieszeni powietrznej wewnątrz tkaniny, utrzymującej zimno z dala od ciała. Zastosowanie membrany wintex® i non-vento® wewnątrz dwóch warstw tkaniny pozwala na dłuższe korzystanie z właściwości wiatroszczelnych tkanin. Precyzyjne wykończenie obu stron tkaniny zabezpiecza ją przed pilingiem.



Technika Górska®

Technika Górska to firma, która dzięki doświadczeniu swojego zespołu testowego, stara się szyć dla Was sprawdzone na wielu ścianach i w jaskiniach modele odzieży górskiej. Dzięki systemowi dystrybucji bezpośredniej „producent-klient" jesteśmy w stanie zaproponować bardzo atrakcyjne ceny.

310 zł

Kurtka z membraną wintex® "Walker"

Info i zamówienia:

www.technikagorska.home.pl

oraz telefonicznie

Wraszawa: (0-p-22) 635 92 87
Kraków: (0-p-12) 421 14 82
Zakopane: (0-p-1820) 68 007

Zespół testowy Techniki Górskiej:



Jan Appelt — **Jan Muskat** — **Marcin Gala** — **Marcin Francuz** — **Tadek Grzegorzewski** — **Zbyszek Zając** — **Jacek Jania**

Górska inicjacja

Tekst i zdjęcia: Borys Binkowski

No i po zabawie. 5642 padło. Z dużymi wątpliwościami, lecz bez większych problemów. Pobudka po nieprzespanej nocy. Trzecia dwadzieścia. Patrzę na zewnątrz - tam gwiaździste niebo - nigdy nie widziałem drogi mlecznej (nigdy, bo to co widziałem w Tatrach, czy na Mazurach mnie nie zadowalało), ale tej nocy - to była droga mleczna! Wspaniała struga jasnego fioletu znacznie lepiej widoczna na wysokości 4200 m, niż z jakiegokolwiek punktu w naszej nizinnej Polsce. Zimno to - to, co jest na zewnątrz śpiwora. Ale to niebo, to cudne niebo, co zapowiada dobrą pogodę w dzień, ta przejrzystość powietrza, mówi mi też o tym, co jest przyczyną mrozu w nocy. Nie wiem, ile jest stopni. Może 20°C poniżej zera? Wiem, że jest tak zimno, że nogi w skórzanych butach i podwójnych skarpetach marzną już po 15 min. marszu. Wstaję. Ubieram jedne spodnie, drugie spodnie. Polar, gore, buty. Idę obudzić chłopaków. Mam nadzieję, że lepiej przespali noc. Mnie nie dawał spać mój współlokator, który najpierw grzebaniem w rzeczach, a potem chrapaniem, mógłby spowodować niewyspa-nie się całych koszar przed ważną bitwą. Mam humor typu: niech będzie siarczysty mróz, silny wiatr i śnieg - cokolwiek, co pozwoliłoby mi nie wstawać. Chociaż szczerze mówiąc, nie mam też ochoty wracać do mojego chrapiącego kolegi, aby przewracać się resztę nocy z boku na bok. Koledzy obudzeni - teraz szybkie pakowanie, kilka kostek czekolady, ochraniacze, raki, czekan do ręki i w drogę. Na stoku widać już światełka czołówek tych, którzy wyszli wcześniej. Mnie znacznie wygodniej iść bez światła, wokół jest dość jasno od śniegu. Pnę się mozolnie do góry - wolno, lecz bez przystanków. Mięśnie ciągle nie rozgrzane, ale jak na wysokość 4,5 km jest to dosyć dobre tempo. Słońce powoli wyłania się zza horyzontu. Teraz dopiero widać jak olbrzymi jest Elbrus, gdy zostawia swój skośny cień na połowie gigantów Kaukazu. Wchodzę na Skały Pastuchowa. Pierwszy przystanek. Łyk plusza, rozpuszczonego w butelce wody, w której pojawiły się dwie grudki lodu wielkości kul bilardowych. Do plusza cukierek z kawą, chwilka na odsapnięcie i idę, bo zimno zaczyna się wdzierać pod ubranie. Odtąd każdy krok będzie moim rekordem wysokości. Słońce zaczyna przygrzewać już mocniej. Dopiero teraz czuję mrowienie krwi, powracającej do stóp. Szlak jest wyraźniejszy i zaczyna trawersować niższy wierzchołek Elbrusa, kierując się na przełęcz. Jestem już na wysokości 5000 m i słaba, dwudniowa aklimatyzacja, zaczyna dawać się teraz we znaki. Coraz częściej muszę stawać, czasem też siadać na śniegu. Pojawia się ból głowy - mózg domaga się tlenu i daje znak, że długo nie wytrzyma na tej wysokości. Trawers ze skośnego, staje się coraz bardziej poziomy, co przyśpiesza mój krok. Dochodzę do przełęczy, jeszcze tylko jakieś 400 m do góry. Nie czuję się dobrze. Krótki odpoczynek nie wyrównuje oddechu, ani nie spowalnia akcji serca, które nie ma czego pompować. Na szczęście napływ krwi do mózgu, która teraz nie musi zaopatrywać w tlen odpoczywających mięśni, uśmierza ból głowy. Jeszcze tylko 400 m. Najtrudniejsze 400 m.

Już pierwsze kroki za przełęczą to dla mnie koszmar. Każdy kosztuje co najmniej

jeden pełny oddech. Po dziesięciu krokach siadam bezwładnie na śniegu. Prawie wszyscy podchodzący wraz ze mną idą tak samo, w takim samym tempie. Każdy żądny sławy wspinacz, pokonuje dystans 100 m w ciągu 10 min.

Musi to być komiczny widok dla jakiegoś obserwatora z zewnątrz. Boję się o swoje ciało. Czuję, że mięśnie mają dużo siły, lecz nie chcę zużywać zbyt dużo tlenu na ich pracę, bo odbieram go mózgowi. Jest to rachunek kosztów alternatywnych - albo mięśnie, albo mózg. Ja staram się robić to na zmianę. Raz zrobiłem o jeden krok za dużo i ledwo się powstrzymałem od wymiotów - to było ostrzeżenie. Ale jest już tak blisko - jeszcze tylko 150 m i dotrę na szczyt.

Zwątpienie było blisko. Ratowała mnie myśl, że jeśli nie wejdę teraz, to będę musiał się pchać tam za dwa, trzy dni. Albo dziś 150 m, albo dziesięć razy więcej później, gdybym teraz zrezygnował. Więc idę. Kilka następnych kroków i poczułem, jak puszczają mi wszystkie mięśnie układu pokarmowego (zwłaszcza jego dolnej części). Zrobiłem pięć kroków w prawo od ścieżki, wykopałem nogą dołek w śniegu, ściągnąłem spodnie i nie zważając na obecność innych wspinaczy o 20 m ode mnie walnąłem najwyżej położonego kupala rodu Bińkowskich w historii. To było to, co zdecydowało, że idę dalej. Ulga pozbycia się paru deka spowodowała, że przeszedłem te parę kroków i znalazłem się na wypłaszczeniu szczytowym. Elbrus składa się z dwóch wierzchołków: prawy - niższy, lewy - wyższy. Oba mają kształt piersi. Szczytem tego wyższego jest jakby sutek, wystający z płaskiej i dość rozległej połaci śniegu. Gdy wchodzę na tę połać widzę w końcu, jak mi się wydaje, szczyt. I nowy impuls - adrenalina, świadomość, że jako pierwszy z grupy 22 osób, wejdę na szczyt (nie wyjeżdżając nigdy w góry wyższe niż



Autor pod wierzchołkiem Elbrusa

Tatry), dodawała mi sił. Mimo braku tlenu w płucach postępowałem krok za krokiem, coraz szybciej, gdy nagle zauważyłem, że ścieżka ucieka w prawo od celu mojego pożądania. Okazało się, że ten lewy cycek ma dwa sutki, a ja zmierzam do tego drugiego. Kolejna chwila zwątpienia. To miał być już koniec, a tu jeszcze kolejne kilkadziesiąt metrów do pokonania. Ale idę - krok za krokiem, coraz bliżej. Jeszcze tylko kilkumetrowy kopczyk, jeszcze parędziesiąt sekund, aż w końcu w zimnie i znoju staję na szczycie najwyższej góry Europy - matki Kaukazu - Elbrusa.

Tego dnia, po mnie, z grupy 22 osób weszła jeszcze tylko jedna, następnego - trzy. Ostatnią z nich musieliśmy ściągnąć ze 400 m (na specjalnych sankach po 14 godzinach marszu). Kolejnego dnia próbowało jeszcze parę osób, ale wtedy ja już schodziłem. Góra, choć nie sprawia trudności technicznych broni się brakiem tlenu, wysokością i zmienną pogodą.

Stanowi problem nawet dla najwytrwalszych. Mnie wejście kosztowało jedynie spaloną od słońca twarz. Musiałem ją długo kurować, robiąc sobie zimne okłady (nie mogłem przez to spać). Przed wejściem na Elbrus miałem respekt do tej góry i zachowałem go do dziś.

NAS NIE DOGONIAT

Tekst: Paweł Karczmarczyk

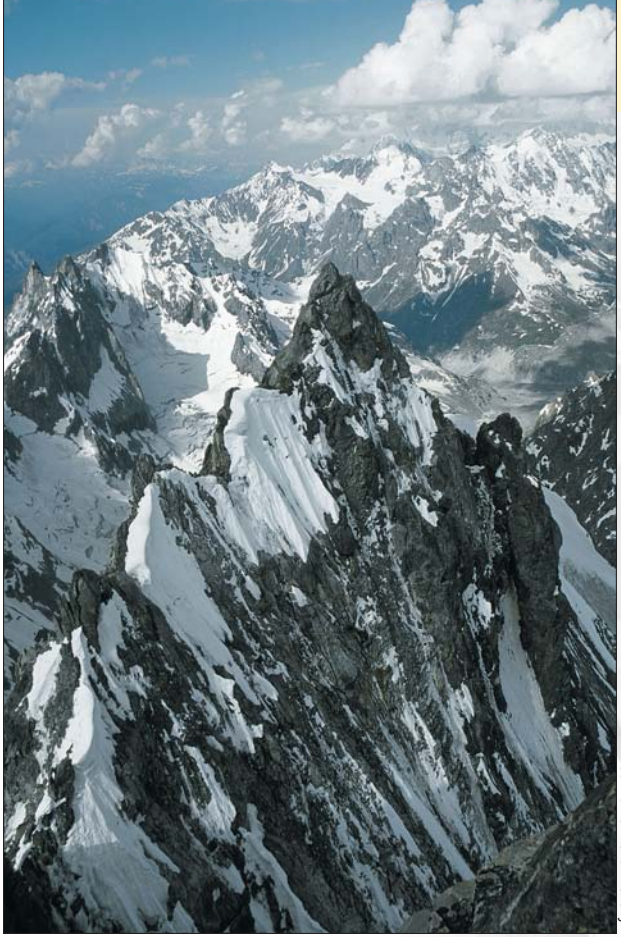
Tegoroczna wyprawa była piątą, którą udało mi się zorganizować w to przepiękne pasmo górskie położone pomiędzy Morzem Kaspijskim a Morzem Czarnym. Tegoroczną dwumiesięczną działalność podzieliliśmy na dwa regiony: Dolinę Adył-su i Dolinę Bezingi. W skład wyprawy weszli: Paweł Karczmarczyk, Jan Mierzejewski, Jan Wierzejski (wszyscy KW Warszawa), Aleksandra Misztur, Marek Rau, Maciek Olinkiewicz i Anna Kazińska.

Na aklimatyzację wybraliśmy Pik Kaukaz (4037 m) - drogę o trudnościach 2B, którą pokonaliśmy w dwóch zespołach trzyosobowych. Po powrocie do bazy „Schelda", która była dla nas miejscem odpoczynkowym i informacyjnym, podzieliliśmy się na dwie grupy. Ja, dwóch Janów i Ola udaliśmy się w otoczenie lodowca Kaszkatasz, a pozostała trójka ruszyła na Elbrus (5642 m) - najwyższy szczyt Kaukazu. Celem moim i Jasia Mierzejewskiego miał być tysiącmetrowy płn.-zach. skalny filar Ullukary (4302 m) drogą o trudnościach 4B. Jaś Wierzejski z Olą mieli zrobić na tej samej ścianie zachodni filar o mikstowym charakterze i trudnościach 3A, opadający na samą przełęcz Kaszkatasz na skraju doliny. Po przeczekaniu dwóch dni niesprzyjającej pogody o świcie wyszliśmy na naszą drogę. W tym samym czasie Ola z Jasiem Wierzejskim podeszli na przełęcz Kaszkatasz, by założyć tam wysunięty biwak pod „swoją" drogą. Filar o trudnościach czwórkowych (niezbyt trudny, ale ciągowy) pokonaliśmy w 8 godzin i o 16 stanęliśmy na wierzchołku. Zjazdy wypadły nam w linii drogi, którą nazajutrz miała się wspinać druga dwójka. Pod wieczór wylądowaliśmy na przełęczy w biwaku założonym przez Jaśka i Olę, a po kilku herbatach i czekoladzie, już o zmroku ruszyliśmy w dół lodowca Kaszkatasz do dużo bardziej komfortowego biwaku na czerwonych skałach. Nazajutrz wieczorem dołączyli do nas Jaś z Olą, którzy również w dobrym czasie pokonali swoją drogę.

Już podczas wspinania filarem wypatrzyliśmy drugi cel w tej dolinie - była to wschodnia grań Szczytu Wolnej Hiszpanii (4200 m). Po jednodniowym odpoczynku jeszcze raz stanęliśmy na przełęczy Kaszkatasz i z marszu weszliśmy w tą liczącą 1500 m drogę (4A). Choć trudności nie przekraczały tatrzańskiej czwórki to była to dość uciążliwa wspinaczka. W grani sterczało dużo turni, których w żaden sposób nie dało się ominąć, a po wspięciu się na nie jedyną możliwością był zjazd. Tę wymagającą i przede wszystkim bardzo widokową drogę udało się nam pokonać w 9 godzin, w dużej mierze z lotną asekuracją. Trudności (już raczej psychiczne) towarzyszyły nam również w zejściu, które prowadziło niebezpiecznym Icefallem opadającym z przełęczy miedzy Szczytem Wolnej Hiszpanii a Bżeduchem (4270 m).

Następnego dnia zeszliśmy na dół do bazy „Schelda" i tam spotkaliśmy się z grupą, która weszła na Elbrus i na tym zakończyła swoją działalność w górach Kaukazu. Pozostaliśmy we czwórkę.

Dalsze plany dotyczyły otoczenia lodowca Schelda, a konkretnie: drogi Abałakowa na płn.-zach. ścianie Piku Szczurowskiego (4259 m) - 5A i drogi Żiwliuka na płn.-zach. ścianie Uszby Południowej (4710 m). Już na posterunku straży przygranicznej poinformowano nas, że na lodowcu leżą ciała dwóch Rosjan, a służba spasacjelska szuka trzeciego. Rosjanie zginęli podczas zejścia z Piku Szczurowskiego na Uszbijskim lodowcu,



fot. Paweł Karczmarczyk

Pd. wsch. grań Szczytu Wolnej Hiszpanii (4200 m)



fot. arch. Paweł Karczmarczyk

Napieranie w wielkiej ścianie

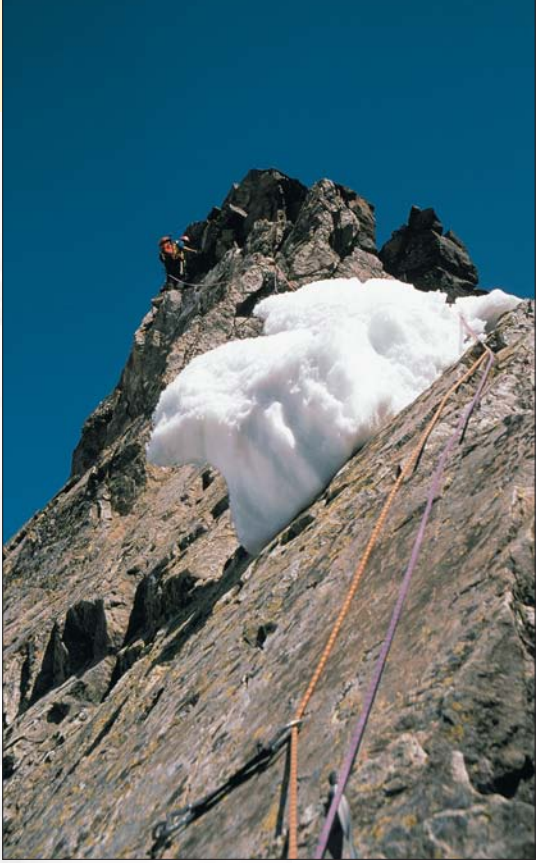
który wymiennie nazywany jest przez Rosjan „ludopadem" (każdego sezonu pochłania on kilka istnień). Nie byliśmy w zbyt dobrych nastrojach, patrząc z niemieckiego biwaku w stronę leżących na lodowcu ciał. Na pierwszy ogień poszła droga Abałakowa na płn.-zach., liczącej 1800! metrów ścianie, Piku Szczurowskiego. Niestety, pierwsze wyjście nie było zbyt udane. Po pięciu wyciągach pomyliliśmy drogę. Ławki i kontrfifki musiały zostać wygrzebane z plecaka. Po pokonaniu niezbyt długiego odcinka hakowego wróciłem na właściwą drogę. Jest dobre stanowisko, więc z uśmiechem wypatruję Jasia, który z podwieszonym worem małpuje w moim kierunku. Po chwili zobaczyłem uśmiechniętą twarz Jasia, a zaraz potem usłyszałem jak głośno zaklął... to plecak... urwało się ucho i runął w dół. Nie było nad czym się zastanawiać. Bez sprzętu biwakowego i do gotowania nie damy rady. Zjeżdżamy.

Spasacjele obserwujący nas z lodowca widząc spadający, czerwony punkt w ścianie, w pierwszej chwili myśleli, że mają kolejną robotę. Widząc, że zjeżdżamy, szybko się jednak zorientowali, że to plecak. Leżał dokładnie pod wejściem w drogę; zginęły raki i zniszczeniu uległy okulary.

Po odpoczynku na niemieckim biwaku i skompletowaniu sprzętu, jeszcze raz podejmujemy próbę pokonania ściany. Tym razem pierwszy dzień przebiega bezproblemowo. Sporo wyciągów V, V+ (ciągowych), więc wspinamy się w rakach, by lepiej wykorzystywać małe stopnie. Pod koniec dnia docieramy na wygodny biwak w połowie ściany. Przychodzi załamanie pogody, ale ponieważ to normalne na Kaukazie, nie martwimy się tym. Jutro i tak będzie lampa. Dużo czasu zajmuje nam doprowadzenie liny do porządku. Po mroźnej nocy zrobił się z niej niezły

kabel. Pierwsze wyciągi prowadziły po gładkich, nieco połogich płytach, pokrytych cienką warstwą lodu. Raki jeszcze jakoś siadają, ale o dziabkach można zapomnieć, lodowa polewka jest zbyt cienka, a asekuracji praktycznie nie ma. Trochę na równowagę, trochę wykuwając chwyty na ręce, jakoś daję radę. Śmieszne, bo wyciąg ten przy suchej skale nie stanowiłby żadnego problemu. Dalej znowu dużo trudności - tym razem skalnych - długich, ciągowych piątek. Po południu wchodzimy w śnieżne pola podszczytowe. Tam jeszcze cztery wyciągi łatwym filarem. Niestety łapie nas burza. Pośpiesznie zdejmujemy z nas całe żelastwo, które swoim sykiem przypomina, że lubi ściągać zbliżające się coraz bardziej pioruny. Nakrywamy się NRC-etką i czekamy, aż burza przejdzie. Nad głowami wali niemiłosiernie. Po 1,5 godz. cichnie. Pada gęsty śnieg i widoczność jest słaba, ale do szczytu niedaleko, więc ruszamy. Późnym popołudniem osiągamy wierzchołek. Chmury się rozwiewają i odsłaniają się nam przepiękne widoki na Uszbę, Scheldę i Chatyn-Tau. O zmroku schodzimy łatwą granią (2A) na Uszbijskie plateau. Temperatura spada do -15°C, więc szybko wskakujemy w śpiwory i płachty. Trzeba się trochę zdrzemnąć, bo w nocy planujemy schodzić Uszbijskim „ludopadem". Wstajemy około trzeciej. Jest bardzo zimno i do tego dochodzi silny wiatr. Schodzimy bardzo szybko. Po drodze mijamy porozrzucane rzeczy Rosjan: schłamiona lina, czekany, czapka.... O świcie jesteśmy już na dole, można więc odetchnąć i w spokoju udać się w stronę niemieckiego biwaku. Po długiej dyskusji, Jaśki postanawiają wracać do domu. Uszba znowu nie będzie nam dana w tym roku. Ja i Ola trzymamy się wcześniej ustalonego planu i po zejściu do bazy „Schelda" przemieszczamy się w Dolinę Bezingi.

Choć nie było mnie tu 2 lata, dyrektor Alpłagieru wita nas serdecznie. Zastanawiamy się nad planami. Początkowe ustalenia były takie, że będą to drogi raczej łatwe - z uwagi na małe doświadczenie górskie Oli. Decydujemy się jednak na dość trudną drogę (4B) na Missis-tau (4427 m). Droga zazwyczaj robiona jest w dwa dni, zatem zabieramy ze sobą cały sprzęt biwakowy. Wychodzimy jeszcze w nocy. Pogoda jest kiepska, widoczność na kilkanaście metrów i pada śnieg. Mimo to nie przerywamy wspinania i w dobrym czasie przechodzimy 700-metrowy odcinek lodowy, dostając się pod skalne trudności drogi. Tu zastaje nas burza. Przeczekujemy ją w płachtach biwakowych i ruszamy dalej. Skalne wyciągi pokonujemy powoli. Jest czwórkowo z miejscami piątkowymi, ale mokro i zimno, więc z trudem decyduję się na ściągnięcie rękawiczek. O 17-tej stajemy na wierzchołku, jednak nie spędzamy na nim zbyt wiele czasu, ponieważ wieje silny wiatr i nic nie widać. Szczerze mówiąc, liczyliśmy na jakąś czekoladę schowaną w szczytowej puszce (nasze szturmżarcie wypadło podczas pierwszego



fot. Paweł Karczmarczyk

Jaś Mierzejewski na pd. wsch. grani Szczytu Wolnej Hiszpanii

wyciągu), ale prócz listu pozostawionego przez ostatnią komandę nic nie znaleźliśmy. Rozpoczęliśmy zjazdy, które skończyliśmy dopiero późno w nocy. W sumie droga z zejściem zajęła nam równo 24 godziny akcji non-stop. W bazie dochodzimy do wniosku, że droga była



fot. Ola Misztur

Paweł na północnej ścianie Ullu-auz-baszi (4675 m)

trochę za trudna dla Oli (choć doskonale sobie radziła). Paradoksalnie jednak, po dobrym reście, decydujemy się na dłuższą i trudniejszą drogę. Naszym kolejnym celem była północna ściana Ullu-auz-baszi (4675 m) o trudnościach 5A. Pierwszy odcinek drogi to tysiąc metrów lodu, który pokonujemy w 10 godzin. Po raz pierwszy miałem okazję użyć ice-fifi i muszę przyznać, że jest to fantastyczny wynalazek. Żałowałem, że nie mam dwóch. Niestety, po pokonaniu pierwszego wyciągu skalnego rozpętała się burza i zmuszeni byliśmy zabiwakować. Burza szalała całą noc a rano warunki wciąż były kiepskie. Mimo to kontynuowaliśmy naszą drogę i po czterech mikstowych wyciągach stanęliśmy na wierzchołku. Tam przywitał nas kolejny grzmot, więc w pośpiechu zaczęliśmy zjeżdżać na drugą stronę. O 22 zjechaliśmy na plateau „3900" pod północną ścianę Kosztan-tau (5150 m). Czekał nas tam kolejny biwak, który nie był już tak komfortowy, gdyż śpiwory po dwóch ostatnich były już wilgotne. Następnego dnia rozpoczęliśmy bardzo męczące schodzenie w dół lodowca Mizrigi. Charakteryzuje się on piętrową budową a teren pomiędzy kolejnymi uskokami jest mocno uszczeliniony. Czekało nas dużo kluczenia, zjazdów i wspinania w dół w twardym lodzie. Do bazy dotarliśmy wieczorem bardzo zmęczeni ale zadowoleni. Nie sądziłem, że będę z Olą robił takie drogi!!!

Realizacji nie doczekał się niestety nasz kolejny cel - filar północnej ściany Urala wschodniego (4150 m) - 5A. To koniec sezonu dał o sobie znać w postaci długotrwałego załamania pogody, uniemożliwiając naszą dalszą działalność w tym rejonie. Wyjazd można śmiało uznać za udany zarówno pod względem wspinaczkowym (siedem dróg) - szczególnie wziąwszy pod uwagę fakt, że drugi miesiąc działałem z o wiele mniej doświadczoną Olą, jak i towarzyskim - nawiązaliśmy wiele ciekawych kontaktów z rosyjskimi wspinaczami, które mam nadzieję zaowocują w przyszłym roku w postaci kolejnych dobrych przejść.

Kamanda w bazie



fot. arch. Paweł Karczmarczyk



lecę i zlecam

Ze spotkania na spotkanie, z biura do pracowni, z windy do taksówki, ciągle w biegu, wiecznie się spieszę, stale gdzieś lecę. A przecież nie żyję po to, żeby pracować, ale pracuję po to, żeby żyć. Nie mogę i nie chcę tracić czasu. Dlatego wybrałem konto Inteligo, ponieważ cenię je za wygodę, jaką mi daje. Dzięki niemu, korzystając z Internetu, WAP-u, SMS-ów, karty VISA i serwisu telefonicznego, komfortowo zarządzam osobistymi oraz firmowymi finansami. Z każdego miejsca i o każdej porze mogę sprawdzić salda kont lub zlecić dowolną transakcję bankową. Jej potwierdzenie natychmiast otrzymuję SMS-em!

Konto Inteligo to oprócz wygody także zysk. Wyjątkowo atrakcyjne oprocentowanie aż do 6,70% powoduje, że nie muszę szukać innych sposobów inwestowania moich pieniędzy.
Jeśli potrzebuję gotówki, wypłacam ją bez prowizji w sieci Euronet lub w każdym bankomacie PKO Banku Polskiego, prowadzącego konto Inteligo. Zawsze jedno z tych urządzeń jest w pobliżu. W końcu to największy polski bank. Dlatego też jestem absolutnie spokojny o bezpieczeństwo moich pieniędzy. Serdecznie polecam.

Oprocentowanie konta Inteligo (do 6,70%) gwarantuje zysk jak na lokacie.

PKO BANK POLSKI

wybierz wygodę
0 801 121 121*, www.inteligo.pl
*Całkowity koszt rozmowy jest równy cenie jednego impulsu za połączenie lokalne.

inteligo

Morze marzeń

Tekst i zdjęcia: Maciek Kubera

Kalifornia wita nas ciepłym „śródziemnomorskim" klimatem. To tu rozgrywała się akcja serialu „Ulice San Francisco". Pożyczamy samochód z automatyczną skrzynią biegów. Prosimy o krótki kurs obsługi kręcących się po parkingu Portorykańczyków i po chwili... gubimy się w ulicach San Francisco. Dziś w Oakland rozgrywki. Tłumy walą na mecz. My w drugą stronę. Docieramy do Doliny w nocy. Czytamy ogłoszenia na kiosku rangersów. Jest wiadomość od Jacka Czyża dla nas i od Marty dla Maćka. Śpimy w namiocie Jana i Wawy, którzy wspinają się na Nosie. Wstaję o 5-tej. O 6.30 zaczyna świtać. Słynny Camp 4. Drzewa z czerwoną korą, ogromne kamienie i niedźwiedzioodporne skrzynki na żywność. Jem śniadanie. Przychodzi Jim. Ma kapelusz pamiętający Woodstock i mieszka tu od zawsze. Czy je mięso? Nieeee oczywiście, że nie. Gotowanych potraw też nie. Od kiedy? Nooo od ośmiu lat. Uprawia jogę i ćwiczenia oddechowe.



El Capitan

Jedziemy oddać auto. Tankuję w Mariposa ale nie wiem czy ten nasz Ford to diesel czy benzyniak? *Definitly regular gas* - stwierdzają pracujący przy wykopie robotnicy wybuchając śmiechem. Fakt - benzyna jest tak tania, że nikt nie męczyłby się z dieslem. Chaotyczne zakupy w markecie. Długo rozmawiamy z Jackiem, Wawą i Janem.

Nazajutrz przygotowujemy sprzęt - *brać dziesięć jedynek czy dwadzieścia ? Weź dwadzieścia.*

Jim przyniósł jabłka. *Uważajcie aby nie zjeść robaków* - ciekawe czy martwi się o nas czy o robaki? Dzięki Jim.

Peter dziwi się, że zaczynamy naukę big walla od tak poważnej drogi. Wg Jacka droga ma ok. 10 do 15 przejść. Daje nam schemat z przejścia Francuzów z naniesionymi uwagami. Jutro zaczynamy poręczowanie.

10.10.2002

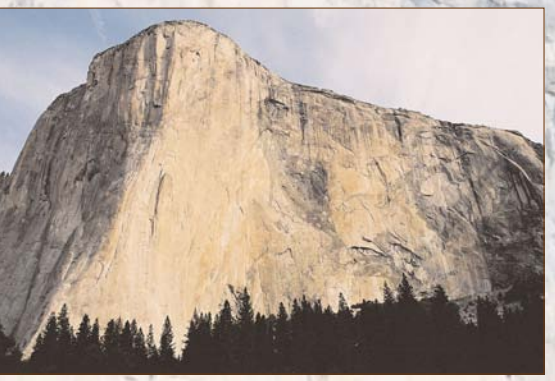
Czwartek. Drugi wyciąg i dwie żabki w szczelinie. Akurat w miejscu gdzie mógłby siąść alien. Nie, nie zrobię wam krzywdy. Karkołomnie omijam to miejsce. Trudności wyciągu gdy siedzą tam żabki powinny być wyższe o stopień. Wieczorem grzecznie nabywamy w sklepie dwa fish-hooki i uprzęże bigwallowe Yates. Przecieram buty prawie na wylot. Granit ostry jak brzytwa wycina kółka na łokciach mojej koszulki. Trzeba tape'ować ostre krawędzie na ścianie. Jim przyniósł pestki od dyni.

11.10.2002

Piątek. Kolejne transporty wody i jedzenia. Zwozimy ze ściany część sprzętu. Dokupuję powerbary. Pod ścianę podchodzi Dean Potter -*Have fun* - mówi i życzy powodzenia. Kąpiele pod natryskami o 21-wszej w Curry Village są boskie. Kawa w cafeterii też. Muzyka G. Love w aucie Jana też.

12.10.2002

Sobota - wlewam w siebie mnóstwo kolorowych płynów izotonicznych. Brrrrrrr. Wieczorne wizyty w sklepie mają w sobie coś z rytuału. Wymieniam się z Maxem na haki: ja mu jedynkę on mnie ołowianego (!) heada. Można go rozklepać na prawie





Nasi w Camp IV, od lewej: Szczepan Głogowski, Maciek Ciesielski, Jarek Caban, Maciek Kubera, Stefan Stefański



...inwentaryzacja

płaskiej skale. Wisiałem w takim - trudno mu zaufać. Wpadnij Max do Polski powspinasz się w Tatrach. *Kto wie może wpadnę w marcu* - mówi. Leo przyniósł „stereo" i swoją fajkę.

13.10.2002

Niedziela - rangersi częstują kawą pod wielkim głazem, pogadanka na temat kontrolowanego wypalania lasów. Przyszedł też Chongo.

Wieczorne powroty spod El Capa są magiczne. Jest pełnia. Ściana srebrna jak na kiczowatym obrazku. Las żywcem wzięty z „Władcy pierścieni". Jasno - nie używamy czołówek. Ze ściany migają biało - niebieskie diody jak robaczki świętojańskie. Ktoś jest na *Mescalito*, ktoś na *Zodiacu*.

17.10.2002

Czwartek - dzień restu. Wykorzystujemy go na ostateczne zakupy - trochę więcej Duck Tape'a. Bez tego nie da się tu żyć. Oklejamy taśmą wszystko: buty, świnie, ubrania. Jacek poręczuje swoją solową drogę na lewo od nosa. Jest skarbnicą wiedzy. Wawa wyjeżdża. Przyjeżdżają: Szczepan i Stefan - łoją naprawdę trudne rzeczy. Misie kręcą się w nocy po campie. Rangersi też.

18.10.2002

Czas wbić się w ścianę. W *Zodiaca* wchodzi Jan z Martą.

Noc na *Continental Shelf*. Druga w nocy. Budzi mnie muzyka reggae. Wyglądam z portala - ktoś pałuje na *North America Wall*. Sześcioosobowa ekipa Leo Houldinga z magnetem i jak się później okazuje - browarem i whisky. Kończą nad ranem, śpią do 14-nastej. Trzy czy cztery portale. A teraz spać. Jutro „Hook or Book".

19.10.2002

Hmmm i co dalej? Palce niecierpliwie szukają miejsca pod następnego cliffhangera. Czuję się jakbym czytał Brailem. Osadzam hooki często na ślepo. Bridwell ma jednak długie ręce. Spoglądam w lewo. Przelot z riveta kilkanaście metrów ode mnie. Blondyn na stanowisku pali papierosa i czujnie patrzy na mnie. Wie, że gdybym odpadł musi rzucić się w czeluść na długim aucie aby wybrać luz, co jest jedynym sposobem na skrócenie wahadłowego lotu, po którym uderzyłbym w skalną książkę - rampę biegnącą pode mną i z lewej flanki. „Hook or book" zaczyna się niewinnie.

Stanowisko na własnej protekcji (co nie jest bez znaczenia w przypadku wyciągu z praktycznie dwoma słabymi przelotami) trawers do riveta, wahadło do skośnych krawądek, wyjście na skontrowanych pod kątem 45 stopni hookach i około dwudziestu pięciu metrów na hookach do drugiego przelotu, na który składają się trzy wklepane w siebie przerdzewiałe heady. Potem jeszcze siedem metrów do spitów stanowiskowych i wyję co sił w gardle. To tutejszy zwyczaj. Spoglądam wokół - wszędzie morze granitu. Nie można myśleć ile jeszcze przed nami. Dotrzeć do stanowiska - oto misja dnia, misja życia.

Maciek prowadzi wyciąg A3. Wiesza się w hookach na odstrzelonym waflu, który porusza się miażdżąc przelot z ball-nuta poniżej. Patrzę jak zarzuca fish-hooka i dociera do słynnego stanowiska „expando" 4 friendy pod odstrzelonym, dudniącym waflem. Nie wciągamy tam „świń" żeby nie przeciążać stanowiska. Obserwuję dwa kruki krążące nad nami. Wiem, że to duchy Indian zaklęte w ciała ptaków. Po kilku dniach witam ich, jak starych przyjaciół. Spoglądam na Cathedral Spire i myślę czy ściana mnie zmieni? Czy będę inny, kiedy stąd zejdę? Góry zawsze mnie wyciszały, uspokajały ale to jest coś innego.

Następnego ranka Maciek prowadzi „Don't skate mate" - kolejne A4. Trudności tu nie zmalały a wręcz przeciwnie - odpadło kluczowe expando. „Big Sur" to świetna półka biwakowa - druga na drodze. Po niej „Pilgrim Pillar" ryzykowne A4R poprowadzone przez Jarka. Powoli wkraczamy w czarny aż niebieski dioryt. Niknie złota skała. Dwa piękne wyciągi w błękicie „To the Tooth" i „Blue Room". Docieram do „Old Rurp Belay". Teraz są tam 4 spity (uffff) choć w szczelinie tkwią przerdzewiałe rurpy (jednak trzeba spitować na stanowiskach - czuję się rozgrzeszony moralnie). Dobijamy 2 KB i poziomą jedynkę. *Muszę mieć na biwaku jedynkę* - mówi Maciek. Jest pomysł na nazwę nowej drogi: *Człowiek Który Nie Biwakował Bez Jedynek*. Ból rąk nie daje spać. Skończyłem „Ibuprom" zacząłem „Solpadeine".

Diorytowy fragment ściany to kruszyzna, lecz nie taka jak w Tatrach. Skala zjawiska jest inna. Mówię tu o kilku (kilkunasto?) tonowych, odstrzelonych od ściany waflach o grubości od kilku centymetrów do pół metra. Maciek zaczyna wyciąg. 9 stóp od stanu wbija lost arrowa i próbuje go wyciągnąć palcami w ramach agresywnego back-cleaningu. Blok wielkości 36 calowego telewizora przesuwa się ze zgrzytem w kierunku stanowiska. Nie odzywamy się.

- *Jarek co mam zrobić?*

- *Wiesz co Maciek? Nie wiem co masz zrobić* - mówi Blondyn.

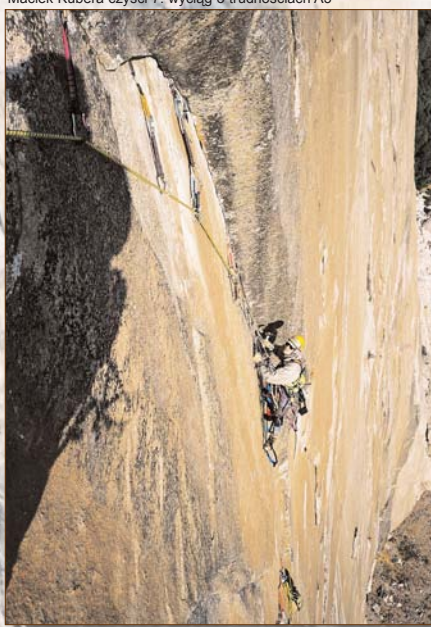
- *Zapomnij o tym haku, nie oddychaj i napieraj* - dorzucam.

Maciek napiera dalej. Czyszczę wyciąg i próbuje odzyskać



Maciek Ciesielski prowadzi 7. wyciąg o trudnościach A3

Maciek Kubera czyści 7. wyciąg o trudnościach A3





Blondyn napina swoje możliwości

Przytulne M3, ok. 170. piętro



hak (7$!!!) - wyciągam go o pół cala. Blok znów zjeżdża. Dobrze, że Blondyn tego nie widzi - likwiduję poręczówki. Zapominam o haku - idę dalej.

O 10-tej w ścianie zaczyna potwornie wiać mniej więcej do 17-stej, potem wiatr się uspokaja.

Docieramy do „Space station" - stanowiska na najbardziej wywieszonym fragmencie drogi. Potem ściana się przełamuje. Małpuję do stanu w odległości 10-ciu metrów od ściany. Pode mną las. Liny nade mną poskręcane, portal na plecach mnie dusi. Wiatr zaczyna mną kręcić i uzyskuję coraz większą prędkość obrotową. Leo kręci film pt. „Człowiek - helikopter". Ostatnie A4 „Ace in Space" należy do Jarka. Anglo-meksykańsko-wenezuelsko-czeska ekipa imprezuje w Big Black Cave: koktajle, whisky, muzyka i skoki na linach z portali. Javier zakłada sukienkę, sombrero i podwiązki - zdejmuje majty i skacze.

Kończę „Solpadeine" zaczynam „Ibuprofen".

Po którymś biwaku gubię okulary. Na szczęście mam jeszcze przeciwsłoneczne ze szkłami optycznymi ale mogę ich używać tylko do około 17-stej - później jest za ciemno. Zostaję bez okularów na hookach siedem metrów od łatwej klasyki. Bez okularów jestem jak ślepiec. Chłopcy na dole dodają otuchy. Nie widzę miejsc pod hooki. Decyduję się iść inaczej niż w opisie. Wycinam własny wariant a jedynka ratuje mi życie. Teren 5.8 pokonuję w „adidasach", kończę o 23-ciej. Zakładam zjazd z dwóch haków, kości, spita i fish-hooka. Nie zauważam spitów stanowiskowych zaledwie 2 m ode mnie. Tej nocy pękają plastikowe klamerki od portala. Kulę się na zdemolowanej konstrukcji. Maćka portal zaczyna się pruć. Jarek siedzi w ławie do rana. Spadają kolejno: therm-a-rest, puchówka, śpiwór, ława i papieros.

Koszmarny przepak na półce nieopodal „Igloo" - wylewamy z 7 galonów wody. Maciek przepływa przez trudną klasykę w tempie ekspresu. Pod wieczór do ostatniego stanowiska dochodzi Leo. Zabrakło im wody, daję mu butelkę z piciem i suszone mięso. Zapala skręta. Obie ekipy wychodzą po ciemku na pik. Szukamy miejsca na biwak i ognisko. Dziewczyna Leo - Blanca jest z Cieszyna i mówi po polsku. Wyciągamy resztki zapasów: my wodę i ostatnią herbatę, oni masło orzechowe i piwo. Dym fajek i uśmiechnięci Wenezuelczycy. Długo siedzimy oglądając po raz setny ten sam film ze skokami. Leo opowiada historię wciągania czterech „świń" na raz ale robi to z półgodzinnymi interwałami, których nie zauważa. Nagle przerywa i wraca do opowieści jakby półgodzinny „slot" czasowy nie istniał. Niebo wygląda jak katedra a granitowe płyty kołyszą się - dobranoc.

Budzę się ze ścierpniętymi rękoma. Myślałem, że źle spałem

ale dochodzę do wniosku, że jest to spowodowane uciskiem uprzęży na naczynia krwionośne. Ostatnie objawy ustąpią po miesiącu. Gdzie papierowe torebki? Gdzie tuby? Zaraz, zaraz ten osprzęt nie jest już niezbędny. Śniadania nie jemy - nie ma co jeść. Zwijamy się szybko aby jeszcze dziś zebrać coś spod ściany. „Świnie" wciąż koszmarnie ciężkie. Dowiadujemy się potem, że ekipa Houldinga opuściła swoje „świnie" na powiązanych linach w linii *Zodiaca* sześćset metrów w dół.

Na campie miłe listy z gratulacjami od całej ekipy i piwo od Szczepana i Stefana. Biegniemy z Jarkiem do Cafeterii coś zjeść. Wpada Jacek - rozmawiamy, zasypiam nad talerzem. Rano idziemy z Maćkiem pod ścianę. Poszukiwania są owocne. Na *Goliacie* dostrzegam puchówkę. Maciek wiąże się skrajnym, starą, znalezioną liną z gołym rdzeniem, wpina znalezione friendy do szlufki od dżinsów, zakłada moje trekowe „chiruki" i napiera. Asekuruję oczywiście z ciała, na bosaka. Kurtka odzyskana.

Kilka dni restu przed powrotem. Dłonie wciąż cierpną.

Podziękowania dla: Jacka Czyża (nieocenione rady, Dobry Duch, Toyota Tacoma), Wawy, Jana i Marty (Ogarnięcie logistyki w Dolinie, Dobre Duchy, muzyka G.Love, Saab i maszynka do gotowania), Szczepana i Stefana (Dobre Duchy, piwo, opieka nad namiotem) i dla wszystkich za miłe towarzystwo. Jacek podwozi nas do Merced kupujemy bilety na Grey Hounda do S. Francisco. Zatrzymujemy się gdzieś przy zapomnianej przez Boga i ludzi restauracji z hamburgerami. Właściciel mówi po polsku, częstuje lodami. Powrót do kraju. Cierpną: wskazujący i serdeczny. Kończę „Ibuprofen". Co do porównania trudności hakowych w Dolinie z trudnościami w Tatrach, to no cóż, trudno tu cokolwiek porównywać. U nas, jak raz się ktoś zwiesi na hooku to daje A3 :). W Dolinie hooki siadają nawet na trudnościach A2 i jest to standard. To ile ich jest w ciągu i jakie są miejsca osadzeń (dobre krawędzie, kruche, łamiące się wafelki czy wyżłobienia) ma wpływ na wycenę. A3 to solidny ciąg headów - do około 10-ciu o rozmiarach max #3 i ciągi na hookach do około 10-ciu przewieszeń. A4, które napotkaliśmy to w zasadzie brak pewnego punktu na wyciągu: siadają małe jedynki, ciągi małych headów, trudne hooki osadzane często na ślepo. Czasem prawie zupełny brak czegokolwiek wbitego („Hook or Book"). Lot grozi przeważnie uderzeniem wspinacza w formację skalną poniżej.

Myślę, że *Muppety* zasługiwały na wycenę A3 - A3+ zanim dobito spita i osadzono komplet jedynek.

W okresie pomiędzy 10 a 31 października w Dolinie działał dwuosobowy zespół w składzie Szczepan Głogowski (KW W-wa) i Stefan Stefański (Speleoklub Warszawski).

Poniżej zamieszczamy przesłany przez Szczepana wykaz przejść:

El Capitan:
- *Free Blast*, 5.11b, 10 wyc., OS
- *East Buttress*, IV 5.10b, 15 wyc., OS
- *West Face,* V 5.11c, 19 wyc., 2. wyc. 511b w RK, pozostałe OS (pierwsze polskie klasyczne)
- *The Nose*, VI 5.9 C2, 31 wyc., 2.5 dnia + dzień na poręczowanie do Sickle Ledge

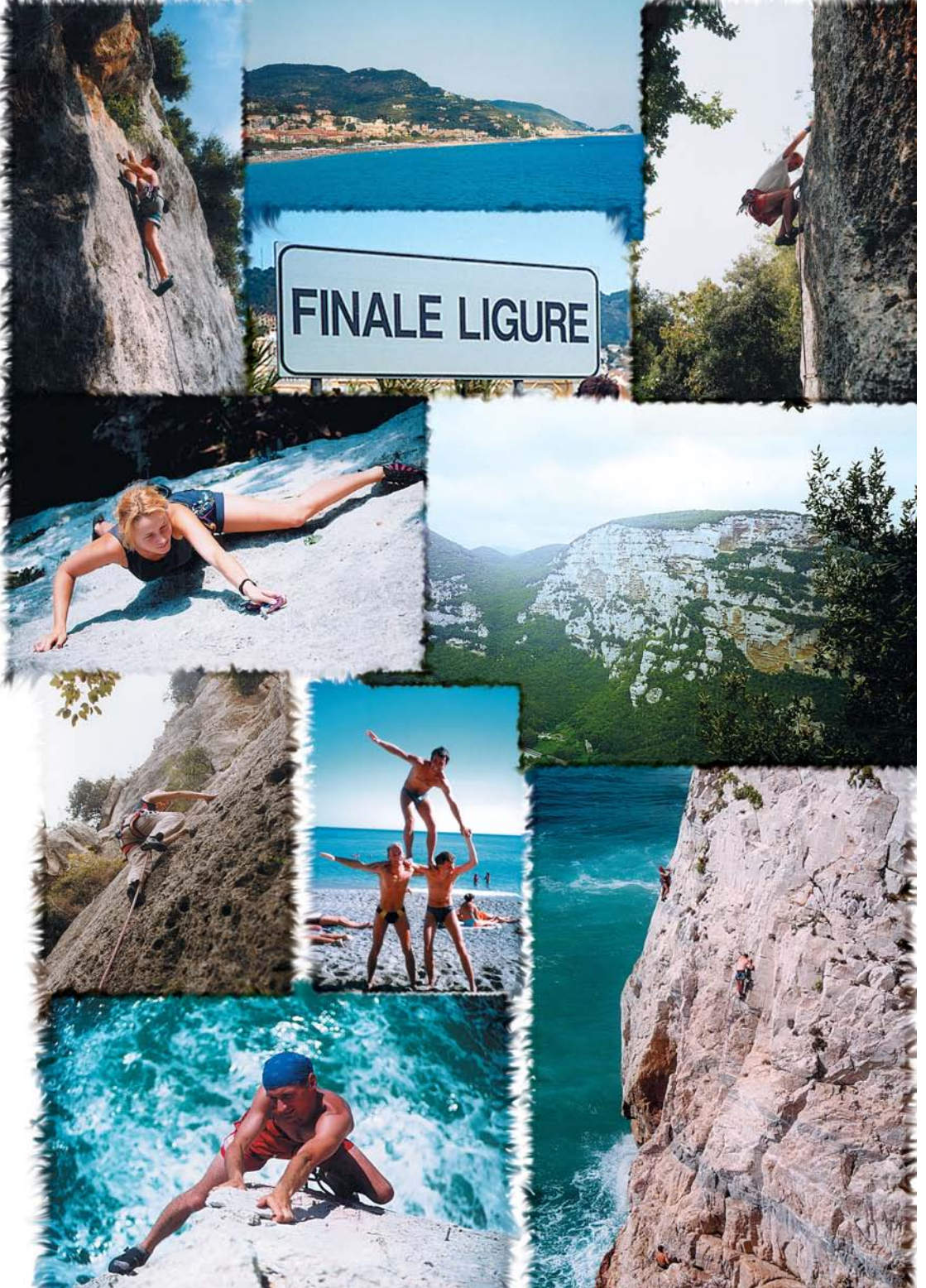
Middle Cathedral Rock:
- *East Buttress*, 5.10c, 15 wyc., OS

High Cathedral Rock:
- *North-East Battress*, 5.9, 14 wyc., OS

High Cathedral Spire:
- *Regular Route*, 5.9, 5 wyc., OS (na tej drodze wspinał się z nami także Janek Appelt)

The Royal Archers:
- *Serenity Crack+Sons of Yesterday*, 5.10d, 4 wyc., OS

Half Dome:
- *Snake Dike*, 5.7


FINALE LIGURE

Finale Ligure

Finale Ligure

Tekst: Małgorzata Laskowska i Marcin Chmieliński
Zdjęcia: Małgorzata Laskowska, Urszula Soszyńska-Kurek, Marcin Chmieliński

Ostatni w tym roku tydzień urlopu postanowiliśmy spędzić na skalnym wspinaniu we Włoszech. Po krótkim postoju w skałach nad jeziorem Como po raz kolejny pojawiliśmy się w Finale, jak zwykle zakładając bazę na dzikim kempingu pod Monte Cucco. Kemping zazwyczaj jest dość zatłoczony, a jego osobliwością jest nie osłonięty prysznic na wolnym powietrzu ulokowany w jego centrum. Czasem, zależnie od tego, kto akurat z niego korzysta, osobliwość ta staje się również zaletą. Warto tu również dodać, że biwakowanie pod Monte Cucco jest tolerowane przez lokalne władze, a camp odwiedzają przybysze z całej Europy.



Monte Sordo

Wieczorem warto zajrzeć do pizzerii Il Rifugio. Można tam spróbować tradycyjnej, włoskiej kuchni oraz napić się dobrego, lokalnego wina. Jeżeli chcemy zaskarbić sobie względy właściciela warto pojawić się tam z dwoma butelkami piwa. Właściciel jest koneserem i kolekcjonerem tego trunku, jedno wypija natychmiast, natomiast drugie odstawia na półkę, gdzie znajduje się już całkiem interesująca kolekcja.

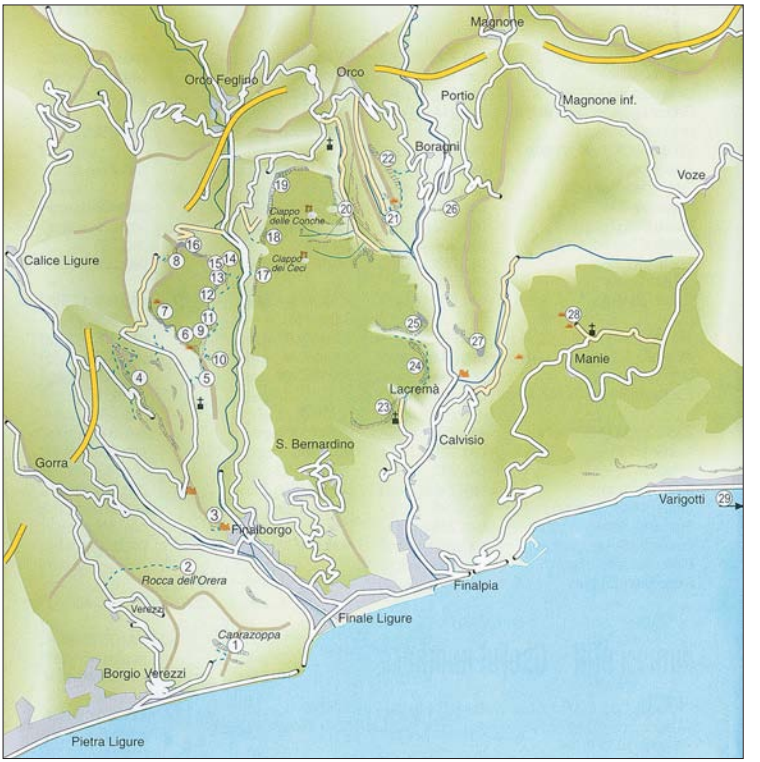
Obfitość wspinania, bliskość plaż i morza (niezwykle ważna dla Żon, Dziewczyn i Koleżanek) oraz fakt, że przy sprzyjającej pogodzie można wspinać się cały rok sprawia, że do Finale warto udać się zarówno w celu spędzenia familijnych wakacji jak i dokonania życiowych prowadzeń. Liczba i zróżnicowanie dróg sprawia, że każdy znajdzie tu coś dla siebie - od brzuchacza siłą oderwanego od firmowego komputera po wyniszczone dietą i treningiem brojlery. My wspinaliśmy się wybierając tylko najładniejsze drogi - oznaczone w przewodniku dwoma lub trzema gwiazdkami, których i tak wystarczy na co najmniej kilkanaście pobytów. Drogi z reguły są komfortowo obite ringami, wszystkie mają stanowiska zjazdowe. W większości sektorów które odwiedziliśmy nie było tłoczno. Jeżeli jednak chcemy wspinać się na Monte Cucco musimy być przygotowani na to, że spotkamy prawie wszystkich współlokatorów.

Jedyny deszczowy dzień poświęciliśmy na rest i uprawianie krajoznawstwa, wybierając się do Monaco celem zwiedzenia słynnego oceanarium. Samo oceanarium zbudowane na nadbrzeżnej skale jest rewelacją Monaco. Miasto natomiast, pomimo pięknego położenia oraz posiadania kilku pałaców, kasyn i portów jachtowych jest architektonicznym i komunikacyjnym koszmarem i opuściliśmy je z pewną ulgą.

Finale - informacje praktyczne

Położenie i dojazd:

Finale Ligure leży nad Zatoką Liguryjską, około 70 km na zachód od Genui, przy autostradzie A10. Z Polski najlepiej jest jechać przez Wiedeń, Graz, Wenecję, Brescię i Piacenzę, omijając Genuę autostradą A26, potem jadąc na zachód A10 i odbijając na zjeździe Finale Ligure lub na wcześniejszym Orco - Feglino. Dystans 1800 km pokonuje się głównie autostradami, więc jazda nie jest męcząca (z Warszawy od 18 do 22 godzin).



Mapka z przewodnika "Finale Y2K" z roku 2000, Andrea Gallo

Rejony, drogi i sprzęt:

Finale jest jednym z europejskich megarejonów, pod względem ilości wspinania porównywalnym z Arco, Verdon czy Calanques. Przewodnik opisuje około 2000 dróg wspinaczkowych o długości od kilku do 250 metrów i wszelkich stopniach trudności, rozlokowanych w około 30 sektorach. Znajdują się one w promieniu do 3-5 km od miasteczka. Skała to twardy, tarciowy wapień z mnóstwem dziurek, podobny do tego w Buoux. Niektóre sektory oferują wspinanie w charakterystycznych depresjach, z reguły koń-czących się solidnymi przewieszeniami.

Sprzęt:

Finale jest rejonem typowo skałkowym, większość dróg jest wyposażona w komplet przelotów i stanowiska zjazdowe. W zasadzie wystarczy mieć pojedynczą linę (w niektórych sektorach przydaje się 60m) i komplet ekspresów, chociaż gdzieniegdzie przydaje się kilka pętelek. Kości lub friendów używa się sporadycznie. Zresztą drogi na które trzeba je brać są oznaczone w przewodniku.

Największe i najbardziej interesujące sektory w Finale:

Rocca di Perti (4)

280 dróg o trudnościach do 8b+, głównie 6 i 7 francuskie. Długość: 1-2 wyciągi. Dojazd z Finale około 3 km w kierunku Calice Ligure. Następnie przejeżdżamy pod wiaduktem autostradowym i po 500 metrach skręcamy z głównej drogi w prawo, obok strzałki z oznaczeniem sektora. Ponownie przejeżdżamy pod autostradą (tym razem wąskim tunelem) i wjeżdżamy na drogę szutrową prowadzącą pod skały. Zwolennicy ekstremy wspinają się w sektorach Scimmiodromo, Il Giardino czy Il Grotto, normalsi kierują się w stronę nie mniej pięknych Parete delle Gemme, Ombre Blu, Placca Piotti czy Settore Centrale.

Monte Sordo i Grotta dell'Edera (7)

130 dróg, od 5c do 8b. Długość: 1-2 wyciągi. Doskonałej jakości dziurkowa skała. Osobliwością tego miejsca jest Grotta dell'Edera przypominająca kształtem odwróconą filiżankę, która oferuje przewieszone drogi od 6b do 7c+. Niestety, dojście pod skały zajmuje około 40 minut.

Bric Pianarella (17)

57 dróg, większość wielowyciągowa do 250m. Drogi od 5c do 8c, z przewagą 6- 7, w większości prowadzące gigantycznymi wyerodowanymi depresjami. Podejście wprost z drogi, którą dojeżdża się na camp.

Monte Cucco (19)

242 drogi. Niezwykle popularny i w związku z tym często zatłoczony sektor oddalony od kempingu o około 5 minut podejścia. Drogi do 3 wyciągów o trudnościach od 5 do 8b, mnóstwo pięknych płytowych i przewieszonych 6-ek i 7-ek. Szczególnie polecane sektory na Monte Cucco to La Torre, Settore Centrale, Anfiteatro oraz Sahara Wall.

Rian Cornei (20)

453 drogi. Skały znajdują się w dolince leżącej za masywem Monte Cucco, około 20 min marszu od kempingu. W rejonie znajdują się 22 sektory, z których najładniejsze to Placconata Settore Centrale, Falesia della Tranquilita, Falesie di Camelot, Falesia del Silenzio. Drogi z przewagą trudności od 6b do 7c+, choć jest też sporo pięknych, łatwiejszych dróg.

Bastionata de Boragni (22)

154 drogi. Skały usytuowane są przy drodze prowadzącej z Orco w dół do Finalpia. Sektor jest spokojny, raczej pustawy i zacieniony. Znajduje się tam dużo dróg płytowych w stopniu 6 i przewieszonych 7-ek po dziurkach.

Rocca di Corno (27)

82 drogi. Jest to masyw skalny za miasteczkiem Finalpia. Dojazd z Finalpia ok. 2 km w kierunku Calvisio, Stąd odbijamy w prawo i wjeżdżamy w szutrową drogę prowadzącą pod wybitny skalny masyw. Po ok. 400 metrach stajemy na ewidentnym parkingu, skąd zaczyna się ścieżka podejściowa (10 min.). Drogi do 2 wyciągów, głównie po płytach lub charakterystycznych przewieszonych erozyjnych depresjach, o trudnościach do 7c. Wizytówką tego sektora jest droga *Rombo di Vento* 6c prowadząca eksponowanym filarem pomiędzy dwoma depresjami.

Capo Noli (29)

35 dróg. Sektor położony jest na klifie nadmorskim przy drodze z Finale do Noli (ok. 3 km na wschód od Finale), oferuje głównie krótkie drogi startujące znad wody ze stanowisk wiszących. Interesujący jest 400m trawers prowadzący wokół przylądka Noli kilka metrów nad wodą (12 wyciągów) o trudnościach 6a.

Spanie, jedzenie i zakupy:

Spanie:

Najbliższe płatne campingi znajdują się w miasteczku Finalpia, które przylega do Finale Ligure (dojazd drogą nadmorską w kierunku wschodnim). Ceny włoskie, czyli niestety dość drogo. Najbardziej popularny wśród wspinaczy jest jednak darmowy kamping pod Monte Cucco. Z Finalborgo kierujemy się za zielonymi strzałkami w kierunku autostrady A10 - Genova oraz lokalnymi na Orco - Feglino. Droga ta jest kręta i po ok. 2 km wyprowadza nas ponad Finale, pod masyw Bric Pianarella z charakterystycznymi żółtobrązowymi depresjami (z prawej strony jadąc od Finale). Jedziemy dalej mijając tablicę oznaczającą koniec miejscowości Finale Ligure i ok. 100 m dalej wjeżdżamy w węższą drogę, która odbija od głównej lekko w prawo pod górę. Drogą tą około 1,5 km pod masywem Monte Cucco (białożółte skały z prawej strony) aż do pizzerii Il Rifugio. Naprzeciwko pizzerii skręcamy w stromą betonową drogę odbijającą ostro w prawo i po 150m docieramy do kempingu. Pomimo tablic zakazujących biwakowania na terenie Orco, kemping ten jest tolerowany i utrzymywany przez gminę, która dociągnęła tam bieżącą wodę, zbudowała ubikacje i usuwa śmieci. W żadnym innym miejscu w Finale biwakować na dziko nie można.

Jedzenie, zakupy:

Pizzeria Il Rifugio znajdująca się przy drodze do Orco jest placówką sympatyczną i niedrogą, a jej właściciel ze zrozumiałych względów jest najbardziej zainteresowany utrzymaniem campu pod Monte Cucco. W Finale oprócz sklepów wszelkich branż jest supermarket Coop, otwarty od rana do wieczora, gdzie jest najtaniej w okolicy. Na rynku w Finalborgo (najstarsza część miasteczka) jest sklep wspinaczkowy Rockstore, gdzie kupujemy przewodnik. Sklep ten jest jednak dość drogi (np. w porównaniu z Arco) i raczej nie należy się nastawiać na dokonywanie tam dużych zakupów. Dodatkowo, są tam trudności z odzyskaniem podatku VAT, gdyż według obsługi procedura ta jest „molto complicato", chyba jako w jedynym miejscu w Europie. Finale ma natomiast wiele lodziarni rzucających na kolana jakością swych produktów.

Dodatkowe atrakcje:

Finale jest jednym z niewielu rejonów wspinaczkowych Europy, gdzie bezpośrednio po wspinaniu i obowiązkowych lodach można wykąpać się w morzu (uwaga: część plaż przy bulwarze jest płatna - wejście na bezpłatną część od strony dworca kolejowego). Jest to duża zaleta, szczególnie w upalne dni.

Przewodniki i info:

Najnowszym i najlepszym przewodnikiem po Finale jest „Finale Y2K" z roku 2000 autorstwa Andrea Gallo. Oprócz schematów i opisów rejonów zawiera on również klarowne mapki, co jest bardzo przydatne z uwagi na rozległość i wielkość rejonu.



Capo Noli

PATAGONIA

omówienie sezonu 2001/2002 cz. 2

Tekst i zdjęcia: Rolando Garibotti

Turnia północna (ok. 2260 m)

Ściana zachodnia, nowa droga: *Maury the Jewish Tapeworm.*

W połowie stycznia Sean Leary i Zack Smith (USA) wytyczyli nową drogę na południowy wierzchołek północnej turni. Ich droga przebiega po lewej stronie drogi *Cornwall* i wiedzie fantastycznym terenem, podobnym do zacięcia Enduro (Enduro Corner) na drodze *Astroman* w dol. Yosemite. Cztery pierwsze wyciągi to wspinaczka przerysami oraz rysami różnej szerokości, z wykorzystaniem techniki klinowania palców i dłoni. Wspinaczka ta wyprowadziła Amerykanów na grań południową (droga *Monzino*), skąd pozostało im do szczytu ok. 330 m w większości łatwego już terenu. Wspinacze dali drodze wycenę D+ 6b/c. Czas przejścia: 3,5 h.

Filar południowy, droga *Monzino.*

(D+, 300 m, 6a; pierwsze przejście Bich - Carell - Pelissier - Pession (Włochy) - styczeń 1958)

Droga otrzymała w tym sezonie sporo przejść, pokonały ją m.in. następujące amerykańskie zespoły: Mike Davis, Jim Earl i Jeff Hollenbaugh 15 lutego 2002 oraz Ralph Ferrar i John Rzeczycki.

Wierzchołek północny (ok. 2200 m), zachodnia ściana, nowa droga.

17 lutego 2002 roku Allison i Mike Pennings poprowadzili nową drogę na lewo od *Adrenalina Vertical* (TD, 450m, 6b, A2; pierwsze przejście: F. Leoni - M. Manica - D. Zampicolli (Włochy), luty 1992). Wystartowali drogą Włochów i po przejściu dwóch wyciągów, w miejscu gdzie zwężający się system rys wymusza wspinaczkę hakową, strawersowali ok. 15 metrów w lewo, wchodząc w komin szerokości ludzkiego ciała. Po przejściu komina pozostaje jeszcze 5, 6 wyciągów wspinaczki w prostej linii na wierzchołek. Wspinacze przeszli całą drogę klasycznie, wyceniając ją na 6c/7a. Nie użyli żadnego spita ani haka.

Najprawdopodobniej Ralph Ferrar i John Rzeczycki (USA) również zdobyli wierzchołek północny nową drogą, ale brak szczegółów na temat ich przejścia.

Turnia centralna, ok. 2454 m

Ściana ENE, droga *Bonington-Whillians.*

(TD+, 650 m, 6b/c albo 6/A1; C. Bonington - D. Whillians (Wielka Brytania), styczeń 1963)

W połowie stycznia, dzięki ciepłej, bezwietrznej pogodzie i późnemu wejściu w drogę, Sean Leary i Zack Smith (USA) dokonali pierwszego - jak wszystko na to wskazuje, klasycznego przejścia tej drogi, a tym samym pierwszego klasycznego wejścia na Turnię centralną. Zamiast pokonywanego hakowo okapu w połowie drogi, wspinacze wybrali płytowy wariant (6b/c) biegnący po lewej stronie okapu. Wspinaczka zajęła im 4,5 h.

Kolejne przejście drogi: Allison i Mike Pennings (USA), 16 lutego 2002 roku. Wejście Allison jest prawdopodobnie drugim kobiecym wejściem na Turnie Centralną w masywie Torres del Paine. Włoszka Ginella Pagani zdobyła wierzchołek w 1987 roku, wspólnie z Ermanno Salvaterrą. Mike Pennings pokonał drogę klasycznie, wybierając nieco inny wariant obejścia hakowego okapu niż Leary i Smith (zob. wyżej).

Drogę przeszły także dwa kolejne amerykańskie zespoły: Jim Earl i Jeff Hollenbaugh (17 lutego 2002 roku) oraz Ralph Ferrar i John Rzeczycki (data nieznana).

Turnia południowa, ok. 2500 m

Grań północna, droga *Aste.*

(TD, 900 m, 6b/c: pierwsze przejście: Aiazzi - Aste - Casati - Nusdeo - Taldo (Włochy), luty 1963)

Zespoły amerykańskie w składzie: Sean Leary i Zack Smith (w połowie stycznia, 6 h) oraz Ralph Ferrar i John Rzeczycki (data nieznana).

Peineta, ok. 2200 m

Ralph Ferrar i John Rzeczycki (USA), nieznana data i droga wejścia.

Południowy lądolód Patagonii

Trawers w kierunku z zachodu na wschód.

W okresie pomiędzy 2 marca a 3 kwietnia grupa z organizacji NOLS (National Outdoor Leadership School), składająca się z 15 kursantów i czterech instruktorów (Raul Castro, Claudio Retamal, Christian Steidle - Chile oraz Shawn Benjamin - USA), dokonała trawersu południowego lądolodu patagońskiego w kierunku zachód-wschód.

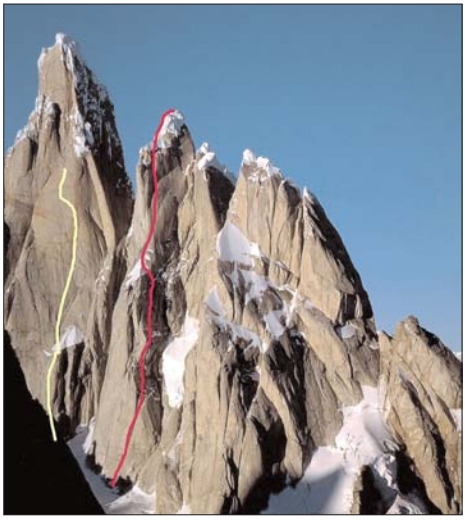
Uczestnicy przedsięwzięcia dostali się łodzią do fiordu Peel, położonego pomiędzy lodowcami Amalia i Asia. Stamtąd pokonali 115 km, aby znaleźć się na zachód od Lago Grey, w kierunku płn.-wsch. od Cerro Ferrier. Z tego miejsca posuwali się dalej bezdrożami do siedziby Parku Narodowego Torres del Paine.

Studenci uczestniczący w wyprawie: Peter Blank, Loyal Bassett, Jerry Delloruso, Martha Kaiser, Lucy Struever, Allison Zarcaro, Jason Schwartz, Keith Spernak, Harriot Lumpkin, Tyson Liskow, Dave Thomson, Jeremy Rossman, Rob Powell, Skip Walter, Evan Manning.

Poniższe zdjęcia są uzupełnieniem do omówienia sezonu w Patagonii zamieszczonego w poprzednim A/Zero.



Fitz Roy, pd.-zach. ściana:
czer. - *Droga Słowacka*, nieb. - *Tonta Suerte*,
ziel. - *Southern Cross*



Cerro Torre, Egger i Standhardt od wschodu:
żół. - próba Salvaterry na wsch. ścianie,
czer. - *O'Neill/Martin*, nowa kombinacja



Aguja Mermoz od wschodu: żół. - *Padre Viento*
Aguja Guillaumet od wschodu: czer. - *The Gambler*



Cerro Pier Giorgio od pn.-zach.: żół. - *Greenpeace*
Cerro Domo Blanco od północy: czer. - *Son Of Jurel*

TRZY WIE□E

Tekst i zdjęcia: Bogusław Kowalski

Obudziłem się obolały. Gdy otworzyłem oczy, okazało się, że jestem w samolocie, zawieszony gdzieś nad Ameryką Południową. Po chwili dotarło do mnie, że zaczęło się. Lecę na spotkanie Przygody. Czarnookie stewardesy podały kawę, a w okienku pokazała się Aconcagua. I nie był to ekran telewizora.

Pobyt w Santiago był bardzo krótki i po kilku godzinach szybowaliśmy w kierunku Punta Arenas. Po pewnym czasie pilot mocno przechylił airbusa na lewe skrzydło i pod nami ujrzeliśmy Torresy. Nasze Wieże. To z ich powodu od kilkunastu już godzin podkurczam nogi jak w starym peerelowskim kinie. W Punta Arenas zaskoczył mnie chłód, no i wiatr.

Nasz Lider zawyrokował, że to jeszcze nic - bułka z masłem. Jeśli tak mówi, to pewnie wie. W końcu był tu dwa lata temu. Zakupów dokonaliśmy bardzo sprawnie, w dużej mierze przyczynił się do tego drugi z moich partnerów - Miguel. Nieoceniona okazała się znajomość hiszpańskiego naszego kompana. Ruszyliśmy do Puerto Natales tak szybko, jak było to możliwe. Tutaj, po uzyskaniu zezwolenia, wsiedliśmy do autobusu, który zawiózł nas do Parku Narodowego Torres del Paine.

Gdy znaleźliśmy się przy Hosterii - ostatnim hotelu z telefonem - z niedowierzaniem patrzyłem na nasze bagaże. Mieliśmy do przetransportowania prawie dwieście pięćdziesiąt kilogramów, a do pokonania było, bagatela, siedem godzin marszu w górę Doliny Ascensio. Zanim to nastąpiło, poznaliśmy GO. Miał dobrze mi znany obłęd w oczach, a w kącikach ust czaił się kpiarski uśmiech. Podszedł do nas i z kalifornijskim akcentem wycedził: „*Cześć chłopaki. Jestem Steve. Steve Schneider*". Po tej prezentacji, za sprawą sławy z Doliny Yosemite, koledzy mówią do mnie Bodek-Bodek. Steve'a spotykaliśmy w czasie całego pobytu pod Wieżami. Bagaże wraz z nami wahadłowo dotarły do „naszego" Campamento Torres.

Po drodze zajrzeliśmy do schroniska El Chileno, gdzie obsługa z ogromnym kucharzem Luisem na czele, rzuciła się Liderowi na szyję. Pytaniom nie było końca. A nasi rozmówcy z wyraźnym zadowoleniem używali słowa zupełnie tu nie pasującego: w hiszpańskim oznaczało ono zakręt... Noszenie worów nadwątliło niestety nasze siły - Miguel cierpiał na bóle kręgosłupa. No cóż, do wesela się zagoi. Oby jednak wcześniej, niż później.

Pełni zapału, przy zupełnie niepatagońskiej aurze, ruszyliśmy z Liderem wytargać sprzęt pod wschodnią ścianę Torre Central. Gdy JĄ zobaczyłem - zabrakło mi słów. Tysiąctrzystumetrowe lotnisko postawione na sztorc. Spociły mi się dłonie i odruchowo zacząłem szukać woreczka z magnezją.

Pierwsza - Torre Sur

Po dwóch dniach, we trójkę ruszyliśmy do koleby pod ogromnym głazem, położonym naprzeciw naszej ściany. Niestety, Miguel nadal cierpiał, więc musieliśmy coś postanowić. Po niedługiej dyskusji odłożyliśmy nasz cel - Magico Est na lepsze czasy i ustaliliśmy, że we dwójkę, bez Miguela, uderzymy na Torre Sur. Lider był tam dwa lata temu z Napałem - Ryśkiem Pawłowskim, więc wie co i jak. Wtedy wycofali się po załamaniu pogody, przedtem jeszcze zaliczając nockę w ścianie.

Wystartowaliśmy o drugiej w nocy odprowadzani smutnym wzrokiem Miguela. Lodowiec przemierzyliśmy nadspodziewanie sprawnie i po blisko trzech godzinach stanęliśmy pod ścianą. Lider kazał mi naprzeć, więc naparłem. I już po kilku metrach wiedziałem, jakie wspomnienia zachował mój partner przez te dwa lata.

Bolały mnie stopy i łydki, a buty stały nie wiadomo na czym. Słaby przelot dyndał gdzieś w dole, niepokojąco za daleko. Co ja robię tu - uu. Po ciężkiej walce zaległem na stanowisku, a do ataku ruszył mój partner.

Wyciągi od V do A2 były kruche i tylko jakimś cudem cała ta biblioteka wisiała nad moją głową. Lider napierał z wielką pasją. Coś mi się wydaje, że przez ostatnie dwa lata śniła mu się ta góra wiele razy. Nawet się nie obejrzałem, a weszliśmy w łatwe wyciągi w środkowej partii ściany. Dobra nasza. Teraz do kolejnego spiętrzenia i dalej jeszcze ze dwanaście długości liny. Po pewnym czasie werwa Lidera osłabła i przyszła na mnie kolej. Droga wiodła systemem zacięć oraz rys i niestety wiele z nich było zalanych lodem.

Moje friction z pewnością nie nadawały się do takiej nawierzchni. Całkiem słusznie zostawiliśmy raki i buty plastikowe pod ścianą, ale wzięliśmy zbyt dużo odzieży. I choć powietrze nawet nie zadrżało, to obawialiśmy się zdeponować część rzeczy po drodze. Przecież wspinaliśmy się w znanej z nagłych załamań pogody Patagonii, do szczytu daleko, a deszcze niespokojne. Z coraz większym mozołem, w raczej śródziemnomorskiej aurze, pokonywaliśmy kolejne wyciągi. Od czasu do czasu Lider zmieniał mnie na prowadzeniu, co przyjmowałem z nieukrywaną radością. Dotarliśmy w końcu do miejsca, gdzie sztywna asekuracja nie miała sensu. Porzuciliśmy więc plecaki i objuczeni jedynie aparatem i kamerą potruchtaliśmy ostatnie trzysta metrów do góry.

Gdy znaleźliśmy się na szczycie, zabrakło mi słów... Założyłem lustrzane okulary i zza nich pstrykałem kolejne fotki. Coś trzymało mnie za gardło. Zupełnie tak samo, jak moją sąsiadkę w czasie serialu brazylijskiego... Niestety, moją radość przytłumiał zrzędzący Lider. Marudził, że późno, że zjazdy, że noc. Wiem, wiem, daj mi się Wojtku jeszcze chwilę nacieszyć.

W końcu zaczęło brakować mi argumentów i posłusznie podreptałem za partnerem. Po którymś z kolei zjeździe zaklinowała się lina i niestety - to ja musiałem ponownie włazić zalodzonym zacięciem. Kolejne zjazdy okazały się bezproblemowe, jednak tylko do czasu. Gdy dotarliśmy do środkowej partii ściany, zapadły ciemności. Było tam łatwo, ale krucho. Opuszczanie się w takim terenie odpadało, pozostało nam tylko schodzić. Tylko jak i którędy, skoro nic nie widać. Z pomocą nadprzyrodzonych mocy i sokolego wzroku Lidera trafiliśmy w kolejne stanowiska. I gdy byliśmy pięćdziesiąt metrów od piargu nie myślałem o niczym innym, jak tylko o piciu. Nie dane mi było jednak szybko ugasić pragnienie. Lina po raz kolejny zaklinowała się. Zawinęła się wokół bloku wielkości telewizora i jej pociągnięcie mogło skończyć się katastrofą. Rozejrzałem się: Lider stał daleko na lewo. Do telewizora - w prawo, ale po strasznej kruszyźnie, wiodła uczepiona ściany lina. Spróbowałem więc ostrożnie i po chwili ujrzałem zmasakrowany pędzel na końcu mojego Mammuta. Byłem jednak tak spragniony, że widok ten prawie mnie nie poruszył. Po kilku minutach okazało się, że do piargu mieliśmy niewiele ponad czterdzieści metrów.

Wojtek Wiwatowski pod szczytem Torre Nord, droga *Monzino*



Druga - Torre Central

Po paru dniach odpoczynku podeszliśmy pod wschodnią ścianę Torre Central. Na miejscu okazało się, że nasi znajomi z campu - Sebastian i Frederico z Wenezueli - wspinają się nie gdzie indziej, tylko na *Magico Est*. Jak to? Mieli przecież robić nową drogę na prawo od *Riders Of the Storm*. O wy ...

No cóż, trzeba będzie pogodzić się z faktami i wymyślić coś naprędce. Nie mamy portala, więc wschodnia Centrala odpada - tylko na *Magico* są dobre półki biwakowe. Co robić? Bierzemy cześć szpeju - naprzemy na Torre Central od zachodu.

Trzy dni później drepczemy paskudnym, zalodzonym kuluarem. Jest tak ślisko, że wyciągamy linę. Stojąc na stanowisku, niespokojnie patrzę na niewielki pasek na horyzoncie. Wiem, co to oznacza: za kilka, najdalej kilkanaście godzin, znajdziemy się w tunelu aerodynamicznym. Poszybujemy do Argentyny bez kontroli paszportowej. Gdy dochodzą do mnie partnerzy, staram się nie mówić o swoich obawach. A przecież wiem, że Lider i Miguel doskonale widzą to samo co ja. Już w tej chwili nieźle zawiewa, a poza tym jest przeraźliwie zimno. Ciągnę jednak wyciąg za wyciągiem, aż do momentu, kiedy rozpętało się prawdziwe piekło. Lider stoi na stanowisku dwa metry pode mną i próbuje mi podpowiadać, gdzie są stopnie. Wiatr fuka jednak z taką mocą, że nie dociera do mnie ani jedno słowo. Czuję, jak na przemarzniętych opuszkach palców, powoli robią mi się krwawe dziury. Na każdym kolejnym stanowisku obserwuję ściągniętą od wiatru twarz Lidera i wciąż oczekuję na wyrok - zjeżdżamy. Słyszę jednak prośbę „*Bodziu jeszcze jeden wyciąg*". Wspinam się więc, pomimo zmęczenia. Wolę to, niż tkwić na stanowisku w tym idiotycznym wietrze. W końcu, po wytężającym wyciągu, opadam z sił i zwieszam się na stanowisku. Nieco zobojętniały obserwuję, jak mój partner z każdym metrem nabiera ochoty do wspinaczki. Po pewnym czasie dociera do mnie Miguel i zamieniam z nim pierwsze słowa od kilku godzin. W skupieniu przyglądamy się Liderowi, który w pięknym stylu walczy z kolejnymi zacięciami. Nieco ponad biwakiem Whillansa (sic!) prowadzenie przejmuje Miguel, a ja wypruty z sił, na przemian małpuję lub zalegam na stanowiskach. I tak już do samego szczytu.

Na wierzchołku Torre Central, jakby w nagrodę, na moment przestało wiać. Robimy foty, kręcimy, a nasz Lider - czarodziej, niczym dobry gajd z reklamy, wyciąga piwo z plecaka. Dzięki Ci za to, Wojtku. Jeszcze kilka fotek i niespokojnie patrząc na zachód zaczynamy zjeżdżać. Po którymś z kolei zjeździe, lina zacina się i Lider ponownie walczy z piątkowym zacięciem. Choć mnie się wydaje, że było co najmniej siódemkowe. Opuszczamy się dalej, tym razem pierwszy jedzie Miguel. Jednak coś dziwnego zaczyna się dziać tam w dole. Nasz partner, mimo że wisi niemal pionowo pod nami, to nie dosięga do stanowiska. Lina wypina się jak żagiel na dobre pięć, sześć metrów. Trzeba czekać. Po upływie bliżej nieokreślonego czasu, stoimy stłoczeni i krzyczymy do kapturów, co i jak dalej. Jesteśmy w centrum huraganu. Po kolejnym zjeździe lina znowu się zaklinowała. Tym razem Miguel przypiął małpy i zasuwa do góry. Lider i ja w otępieniu obserwujemy naszego partnera. A ten, dopiero po trzecim wymałpowaniu, skutecznie odklinował linę. Coraz mocniej wieje i myślę, że to się już nigdy nie skończy. Teraz pierwszy zjeżdża Lider, a ja za nim. Lecz cóż to? Koniec liny, a jego nie ma. To znaczy jest, tylko z piętnaście metrów w prawo. Wywiało mnie na wschodnią ścianę. I jak tu wrócić pod wiatr? Czekam więc na słabsze podmuchy i po kilkunastu minutach stoję obok Lidera.

Jeszcze dwa zjazdy i poniżej przełęczy huragan traci swą potężną moc.

A my szybko, jak to tylko możliwe, zjeżdżamy kuluarem. Około trzeciej nad ranem jesteśmy w bezpiecznym terenie. Tu, jak na ironię, rozszalał się wiatr i zaczął padać zmrożony śnieg.

Trzecia - Torre Norte

Po zdobyciu Centrala musieliśmy dać odpocząć pokancerowanym i przemrożonym dłoniom. Postanowiliśmy więc zrobić rekonesans po Parku. Zwiedziliśmy doliny Pingo i Francuską. Szczególne wrażenie zrobiła na mnie ta pierwsza - niemal dziewicza. Zajrzeliśmy nad Lodowiec Grey, z którego całe ściany lodowe obrywają się z hukiem do Jeziora Szarego. Maszerowaliśmy w sąsiedztwie przepięknych fiordów oraz przez pampę. Nic dziwnego, że po takiej eskapadzie, wróciliśmy do bazy pełni zapału do kolejnych górskich podbojów. Niestety, gdy lizaliśmy rany i ładowaliśmy akumulatory, to wyczerpał się limit ładnej pogody w Patagonii. Przez kolejnych osiem dni wsłuchiwaliśmy się w huraganowy wiatr, bębnienie deszczu, a na koniec przypatrywaliśmy się opadającym płatkom śniegu. Postanowiliśmy odzyskać energię i zjechaliśmy do Puerto Natales. Przy okazji uzupełniliśmy kończące się zapasy żywności. Dwa dni później wróciliśmy w góry i gorączkowo zerkając na pogodne niebo, pognaliśmy ile sił w nogach pod zachodnią ścianę Torre Norte. Jednak znowu mieliśmy pecha - w noc przed wspinaniem walnęła pogoda.

Na zachodniej części nieba pojawiły się ciężkie, deszczowe chmury. Po burzliwej dyskusji, postanowiliśmy jednak wejść na północną Wieżę. Obraliśmy najłatwiejszą drogę, poprowadzoną przez pierwszych zdobywców. Pogoda nie pozwoliła nam zmierzyć się z jedną z wielu na tej ścianie, trudnych, sportowych dróg. Początkowo wspinaliśmy się znanym już z wejścia na Central kuluarem. Na przełęczy ktoś włączył wentylator i zrobiło się „normalnie". Całą drogę prowadził Miguel, najbardziej z nas głodny wspinania. Po czterech, może pięciu godzinach, stanęliśmy na wierzchołku. Lider i ja zdobyliśmy tym samym trzecią, ostatnią turnię w masywie. Szkoda tylko, że dookoła było widać tylko mgłę. Podczas zjazdów pogoda wyklarowała się na dobre - rozszalał się huragan. Po raz kolejny mieliśmy okazję zaznajomić się z prawdziwym smakiem Patagonii. Pod ścianę dotarliśmy ogłupiali od ciągłego huku. Po kilku godzinach mijaliśmy Camp Japoński, w którym zamieszkiwali głównie amerykańscy wspinacze. Gdy usłyszeli, że mimo paskudnej pogody wspięliśmy się na Torre Norte, szczęki opadły im do kolan. Nasz stary znajomy - Steve Schneider nadał nam miano „królów złej pogody".

Michał Wiśniewski, droga *Bonington-Whilliams*, Torre Centrale





Wojtek Wiwatowski droga *Andrea Oggioni*, Torre Sud

W rolach głównych występowali:

Lider - Wojciech Wiwatowski - kierownik wyprawy
Miguel - Michał Wiśniewski
Bodek-Bodek - Bogusław Kowalski



Wojtek Wiwatowski i Michał Wiśniewski, droga *Monzino*, Torre Nord

W imieniu członków wyprawy pragnę podziękować wszystkim, którzy przyczynili się do naszego wyjazdu. Wśród nich na pierwszym miejscu są nasi sponsorzy: Polski Związek Alpinizmu, Broker ubezpieczeniowy Mentor, Miasto - Handel, Lhotse, Lapi (dawniej Trango), Piecobudowa-Płock, Toruń-Pacyfic, Sklep Turystyczny „Świstak" z Bydgoszczy, FARMED, Beata Sobczak, Janusz Marzygliński, Janusz Siwek.

Kalendarium:

10.01. Wylot z Berlina przez Madryt i Santiago do Punta Arenas.
12.01. Przejazd do Puerto Natales.
14.01. Przejazd do Parku Narodowego Torres del Paine.
14-17.01 Transport sprzętu biwakowego, wspinaczkowego oraz żywności do Campamento Torres. Kontuzja Michała Wiśniewskiego.
18-20.01 Transport sprzętu pod wschodnią ścianę Torre Central.
22.01. Zdobycie Torre Sur (Wojciech Wiwatowski, Bogusław Kowalski) - pierwsze polskie wejście - drogą *Spigolo Nord*, VI A2, 1300 m, 27 wyciągów, plus 300 m w kopule szczytowej - teren do III, 13 godzin, zjazdy 8 godzin.
25.01. Podejście pod wschodnią Torre Central. Zespół z Wenezueli w okolicy „naszej drogi" *Magico Est*.
27.01. Załamanie pogody.
30.01. Podejście pod zachodnie ściany masywu.
31.01. Zdobycie Torre Central w bardzo złej pogodzie (Wojciech Wiwatowski, Michał Wiśniewski, Bogusław Kowalski), drogą *Boningtona*, VI A2, około 600 m, około 13 godzin, zjazdy w huraganie.
02-05.02. Rekonesans w Dolinach Pingo i Francuskiej.
06.02. Wielodniowe załamanie pogody.
14.02. Przejazd do Puerto Natales po zapasy żywności.
16.02. Powrót do bazy.
18.02. Zdobycie Torre Norte (cała trójka), drogą *Monzino* w fatalnych warunkach, około 4 godzin. Zjazdy w huraganowym wietrze - 5 godzin. Wojciech Wiwatowski, Bogusław Kowalski (pierwsi Polacy na trzech turniach Paine).
20.02. Likwidacja bazy. Przejazd do Punta Arenas przez Puerto Natales.
23.02. Wyjazd do Argentyny przez Rio Gallegos i Calafate do Chalten. Rekonesans w rejonie Cerro Tore i Fitz Roya.
04.03. Powrót do Punta Arenas.
10.03. Wylot do Santiago de Chile.
12.03. Powrót do domu.

Goplana®

Brando®



SOCZYŚCIE OWOCOWE

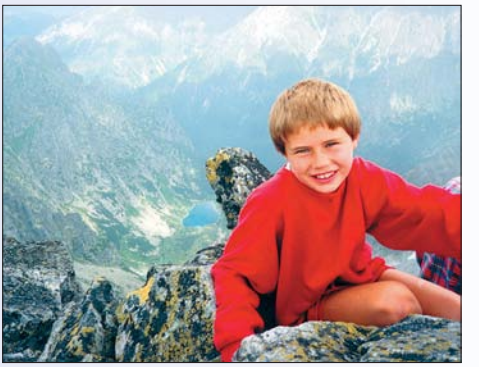
Kuba Ziółkowski

Wywiadowca A/ZERO: Marek Czyżewski
Zdjęcia z arch. Kuby Ziółkowskiego

Przesłanie :

Niech moc będzie z wami i ładować ile wlezie!

W tym sezonie nazwisko tego młodego warszawianina za sprawą jego sportowych przejść w skałach bardzo często pojawiało się we wspinaczkowych serwisach informacyjnych. Kim jest Kuba Ziółkowski vel Bratku?, czym jest dla niego wspinanie? i co leży u podstaw tak niesamowitego progresu we wspinaniu? - na te i inne pytania Kuba odpowiedział w luźnej rozmowie z Markiem Czyżewskim.



Cudowne lata...

Kuba, jak zaczęła się Twoja przygoda ze wspinaniem ? Wiemy, że wspina się Twój starszy brat (Michał Ziółkowski vel Profesor). Czy to on zainspirował Cię czy też może początki były zgoła inne?

W zasadzie zacząłem się wspinać poprzez brata, który zapisał się na kurs do KW Warszawa. Rok później - jak on skończył kurs - zaczęliśmy razem chodzić na ściankę klubową. Po dwóch latach ja też zrobiłem kurs skałkowy. I tak zacząłem się wspinać. Wcześniej chodziłem dużo z tatą po górach - co roku żeśmy jeździli. Jak miałem trzy lata to tata nosił mnie w nosiłkach. Wielokrotnie widziałem taterników na Zamarłej Turni i na Czołówce MSW. I to wszystko mnie tak jakoś ukierunkowało ku wspinaczce.

Na początku głównie wspinałeś się w skałkach?

Tak. W ogóle pierwszy raz wspinałem się w skałkach. Kupiliśmy trochę sprzętu, Michał był po kursie, miał już swoją linę i z tatą pojechaliśmy w skały. Dopiero potem zacząłem chodzić na ściankę. Podstaw asekuracji (najpierw na wędkę, a potem z dołem) nauczył mnie brat. To było chyba sześć, czy siedem lat temu.

A co Ci się najbardziej we wspinaniu podoba, co Cię wciągnęło do tego zajęcia?

O jejku, ciężko odpowiedzieć na to pytanie. Wiele rzeczy. Przyjemność z samego wspinania, satysfakcja z pokonywanych trudności, sam fakt wyjazdów. Ważne jest to, że widzi się postępy, progres. No i jest coś jeszcze, ale nie wiem co tak naprawdę.

W tym sezonie dokonałeś kilku ciekawych przejść, min. Sportland na Mściwoja, Wakacje z Dupami. W porównaniu do poprzednich lat to jest znaczący postęp. Skąd się to wzięło?, mógłbyś powiedzieć kilka słów.

Przez całą zimę regularnie trenowałem. Brat ułożył mi trening siły w połączeniu z treningiem wytrzymałości siłowej. Miałem odpowiednio ułożone cykle, jednego dnia trenowałem siłę na boulderach, a dwa następne dni to był trening wytrzymałości siłowej na obwodach o odpowiedniej ilości przechwytów, z odpowiednią

ilością przerw i o określonej trudności. Wszystko było odpowiednio ułożone i zaplanowane pod mój poziom wspinania. Po półrocznym treningu - miałem faktycznie duży skok. To naprawdę dużo dało.

A które z tegorocznych przejść było najtrudniejsze i najciekawsze?

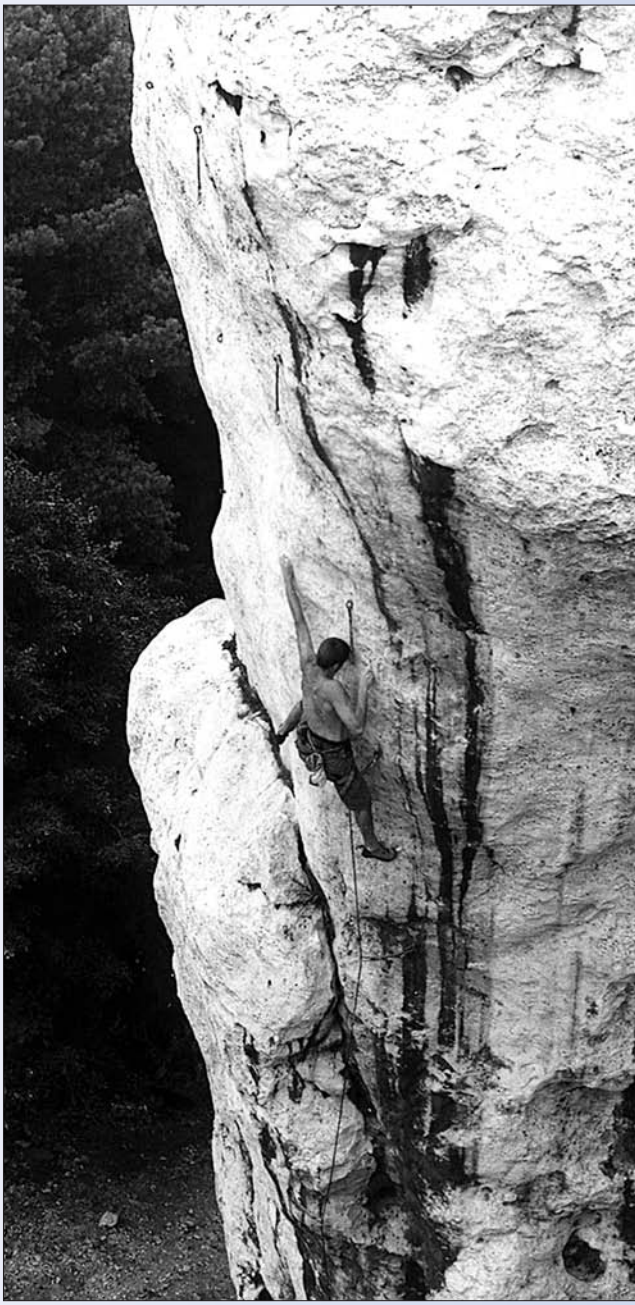
Najtrudniejsze było przejście 622 upadki Bunga (VI.6 -przyp. red.), choć zgodnie z wycenami nie była to najtrudniejsza droga. Najdłużej się z tą drogą zmagałem, bo pierwszy raz przystawiałem się chyba dwa lata temu. Wtedy to było nierealne. Teraz spędziłem nad nią kilka dni.

Wiemy, że crux na tej drodze polega na technicznym i siłowym boulderowym miejscu. Jak się zapatrujesz na bouldering?

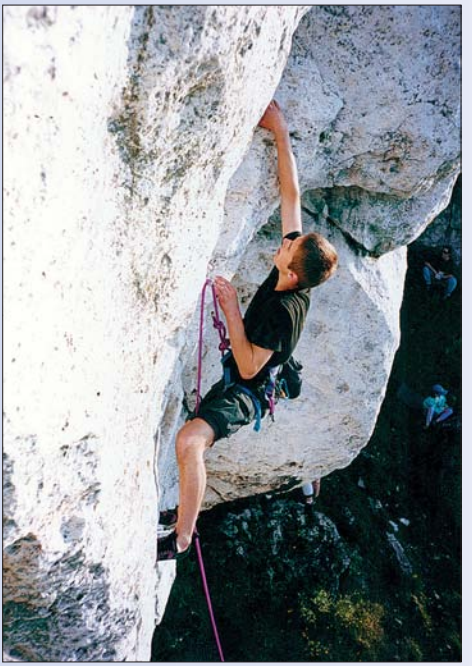
Fakt, trudności na tej drodze są rzeczywiście boulderowe. Dziwne jest, że jest to w ogóle droga. Ale takie było zamierzenie autora - ciężko z tym dyskutować. Możnaby z tej drogi równie dobrze zrobić boulder. Wolę wspinanie z liną niż bouldering. Bouldering jest trochę fajniejszy pod pewnymi względami, ma w sobie więcej zabawy i poza tym jest świetnym treningiem siły. To samo tyczy się zawodów boulderowych. Są fajniejsze, bo często nie ma strefy, jest więcej wspinania i jest luźniejsza atmosfera. Ale mimo to wolę wspinanie z liną od boulderingu.

Jaki styl najbardziej preferujesz w skałach ? OS, czy też długie patentowanie dróg?

W tym roku w zasadzie nie wspinałem się onsajtem. Upatrzyłem sobie kilka dróg, i pochłonęły one większość czasu na wyjazdach. Natomiast wspinanie onsajtem jest chyba fajniejsze.



Sportland na Mściwoja VI.6, Turnia nad Kaskadami, Podlesice


bezimienna VI.2, Dolny Wielbłąd, Podlesice

Ale chyba nie w polskich skałach?

No oczywiście, w polskich skałach onsajty są bardzo, bardzo trudne. Ale jest to fajniejsze i o wiele ciekawsze niż wspinanie RP. Natomiast satysfakcja jest większa z bardzo trudnej drogi RP niż z bardzo dobrego OS-u. Przynajmniej ja tak osobiście uważam.

Czy miałeś już jakieś poważniejsze kontuzje. Jak starasz się ich unikać?

Bardzo poważnych kontuzji jeszcze nie miałem. Lekko naderwane wiązadło w barku, co trochę mnie ograniczało we wspinaniu - ale nie musiałem mieć żadnej przerwy. Teraz mam lekki problem z wiązadłem w palcu, ale też nie jest to poważna kontuzja - plastruję po prostu palec. Natomiast wszelkie objawy, ból w stawach, troczkach, wiązadłach - wiadomo - należy trochę przystopować i zmniejszyć obciążenia treningu. O tyle mam doświadczenia - że brat miał poważną kontuzję palca, zerwał wiązadło i miał pół roku przerwy. Więc jestem trochę wyczulony na tym punkcie i jak tylko coś mnie boli to plastruję i zmniejszam obciążenia. Nieraz miałem takie objawy, że pojawiał się jakiś stan zapalny, więc od razu trochę bardziej lajtowo się wspinałem.

A jak z zawodami, lubisz jeździć, startować. Masz jakieś sukcesy?

Lubię jeździć na zawody, lubię startować, ale strasznie mnie trema zżera. Sukcesy może nie jakieś wielkie, ale na Wall Master w Poznaniu w zeszłym roku byłem dwudziesty, a to były zawody międzynarodowe. A teraz na zawodach Puchar Posępnej Klamy byłem czternasty. No niestety zżarła mnie trema w półfinale. Chcę jeździć dalej na zawody, żeby się przyzwyczaić do publiczności. Myślę, że może być dużo lepiej.

Jak odnosisz się do wspinania w górach ? Jest to coś na czym chciałbyś skoncentrować swoją uwagę, może masz zamiar się zmierzyć z jakimiś poważniejszymi problemami ?

Wspinam się w górach. I to już od trzech, czterech lat. Znaczących przejść jeszcze nie miałem. Chciałbym mieć. W tym roku planowałem wyjechać w Tatry z Markiem Fliśnikiem i moim bratem. W planach był Wariant R, uklasycznienie Stąd do wieczności co już ktoś zdążył zrobić (Darek Sokołowski i Szymon Gutek - przyp. red.). Z rożnych względów w tym roku nic z tego nie wyszło. W ogóle to wspinałem się już trochę w Alpach, a także zimą w Tatrach. Chciałbym to robić w przyszłości poważniej niż na razie.

A co z zimowym wspinaniem w górach?

No jest to trudniejsze i bardziej niebezpieczne. Wymaga o wiele większej wprawy i doświadczenia. Moje wspinanie zimą jest jeszcze w powijakach - aczkolwiek w warunkach zimowych (koniec listopada) zrobiliśmy w całości klasycznie drogę Lobby instruktorskie (VII+, zachodnia ściana Kościelca - przyp. red.). To było bardzo trudne dla mnie, a przypuszczam, że dla wprawniejszych wspinaczy nie byłoby takie ciężkie.

Wspinaczkowe plany na przyszłość?

W przyszłym roku chcę koniecznie pojechać w jakiś westowy region. Powspinać się dużo

onsajtem, może zrobię jakieś trudniejsze drogi od tych z tego roku. Chciałbym też powspinać się w górach. Jeżeli będę miał czas to pojadę na obóz zimowy. Planowaliśmy z bratem powspinać się zimą. Chciałbym mieć w górach jakieś lepsze przejścia w sezonie letnim, ale na razie nie mam żadnych konkretnych planów.

A co sądzisz o środowisku wspinaczkowym w Warszawie i w ogóle w Polsce?

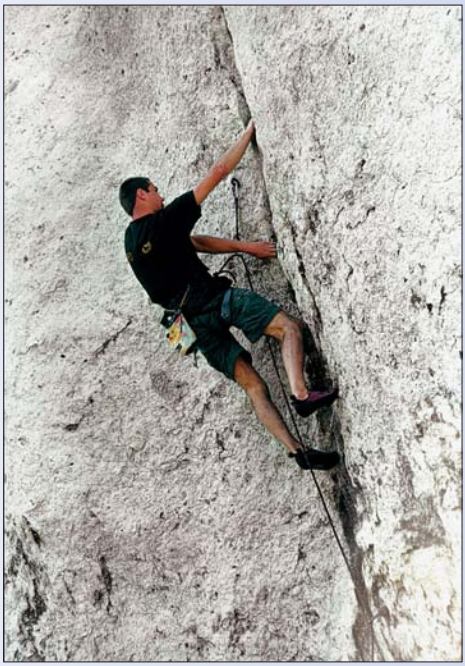
Wspinanie w Polsce jest na dość wysokim poziomie - tak mi się wydaje. Chociażby przykłady Oleksego czy Pustelnika o tym świadczą. No i jest to dosyć duże środowisko. Wystarczy spojrzeć na zawody. Startuje 63 zawodników na w sumie niskiej rangi zawodach boulderowych takich jak Puchar Posępnej Klamy, choć oczywiście bardzo popularnych i bardzo fajnych. W Warszawie i poza nią jest to środowisko bardzo duże i w zasadzie zgrane. Choć wydaje mi się, że funkcjonuje ono tylko w skupiskach, w danym regionie, np. Katowice, Kraków, Warszawa, Trójmiasto, Łódź. Szkoda, że środowiska nie są bardziej powiązane między sobą. Nie ma wyjazdów „mieszanych" w skały, w tym sensie, że jedzie jakaś mocna ekipa z Polski a nie tylko z danego regionu.

Jaką wyznajesz etykę wspinaczkową? Jakie zachowania są dla Ciebie etyczne, a jakie nie?

Takie jak dla większości osób. Jak się drogi nie zrobi to nie można powiedzieć, że się zrobiło. Nie można powiedzieć, że się przeszło coś klasycznie, jak się przyazerowało. Zasady są proste. Jeśli chodzi o wspinanie to reguły są dosyć jasne.

A jeśli chodzi o style wspinania. W skałkach rozpanoszył się styl francuski, a w górach - jak sądzisz, czy jeśli jakaś połać skalna jest możliwa do przejścia klasycznie to warto ją ospitować na jakiejkolwiek ścianie by nie była?

To trochę zależy. Uważam, że dróg, które są trudne i zostały przehaczone - jakieś tam A3, A4 - i da się to zrobić klasycznie, natomiast brak jest chętnych do przejścia przy takiej asekuracji - obijać tego nie wolno. Natomiast jeżeli jest jakaś trudna płyta, która jeszcze w ogóle nie została założona i żaden hakomistrz się do niej nie dorwał



Dupa Biskupa VI.5, Brzuchata Turnia, Rzędkowice

to taką płytę można ospitować i nie ma w tym nic złego. Tam gdzie nie można założyć żadnej asekuracji, a miejsce jest bardzo trudne, co jest oczywiście rzeczą względną - wtedy obijanie nie jest niczym złym. Rys w górach oczywiście bym nie obijał. W rysach można się asekurować samemu. W miejscach, w których można założyć rozsądną asekurację, obijanie byłoby bezsensowne.

Ok. To chyba wszystko. Wielkie dzięki.

Dzięki.

Wykaz najlepszych przejść Kuby w 2002 roku:

Dupa Biskupa VI.5,
Obrany ze skórki VI.4+/5,
Soczewka VI.5/5+
622 Upadki Bunga VI.6
Wakacje z Dupami VI.6+
Kaprys Bogów VI.5/5+
Sportland na Mściwoja VI.6/6+
(pierwsze trzy w długi weekend majowy)

Jak zostałem Alpinistą c.d.

Na właściwym kursie

Kursant

Klub odwiedzałem tak często jak tylko mogłem i już wkrótce przyniosło to wymierne korzyści - zawarłem bowiem pierwszą, osobistą znajomość z alpinistą.

W czasie którejś z wizyt w klubie N rzucił mi się w oczy podejrzanie wyglądający osobnik o dość specyficznej powierzchowności, otoczony grupką rozentuzjazmowanych kursantów. Był to MK, który rozprawiał o czymś głośno wzbudzając aplauz i zachwyt całego audytorium.

- *Dziułka na siułka, strzelam ekspłesem i jestem!* - zakończył opowieść wśród hucznych owacji.

Wnet okazało się, że MK szyje uprzęże i właśnie zbiera wymiary od chętnych. Stanąłem w kolejce, dałem się pomierzyć i wniosłem przedpłatę na moją alpinistyczną uprząż. Przekazałem nawet k o l e d z e MK swój telefon, i on podał mi swój. Wyciągnąłem kapownik i zapytałem:

- *Jak masz na imię?*
- *Małcin* - padło
- *Przepraszam?*
- *MAŁCIN!*
- *Słucham, jak?*
- *Kułwa, człowiek ł nie wymawia i tuman taki nie łozumie, co za bałan, spiełdałaj !!!*

Tak zbesztany oddaliłem się szybko, ale i tak byłem zadowolony - zawarłem bowiem pierwszą alpinistyczną koneksję.

***

Wkrótce rozpoczęły się cykle wykładów. Były one bardzo pouczające.

Alpiniści, którzy je prowadzili, starali się w możliwie przystępny sposób przekazać nam tajniki wspinaczkowego rzemiosła. Wiedza niechętnie przenikała jednak w głąb naszych zakutych pał, choć bardzo się staraliśmy i nawet robiliśmy notatki (przynajmniej ja). Dzięki temu wyniosłem z wykładów wiele pożytecznych informacji.

Mój zeszyt zaczyna się całkowicie wyczerpującą definicją frontu zokludowanego i wiatru liptowskiego. Pod hasłem „przyroda" zano-towałem - „krzewinki szpalerowe - mali krewni krzewów nizinnych". Dowiedziałem się, że oprócz friendów są jeszcze amigo, natomiast haki twarde są twarde, bo są pomalowane na czarno. W rozdziale sprzęt zimowy widnieje motto - „kiedyś wełna - dziś włókna sztuczne", a wykład o treningu cechuje się dużą ilością wykresów, nad którymi pyszni się wielki napis „superkompensacja - klucz do sukcesu".

W sumie więc materiał teoretyczny zgromadziłem bogaty i czułem się w pełni przygotowany do konfrontacji z realnym alpinizmem.

Na jednym z ostatnich wykładów RK ogłosił wyjazd na zajęcia bunkrowe.

- *Każdy jeden ma mieć kask, młotek i kartę zdrowia sportowca* - cedził powoli wodząc wzrokiem po sali - *jasne?*

Dla mnie było jasne, że jasne, nie ośmielił bym się indagować ważnego alpinisty. Jednak ludzie są nierozważni, toteż ku zdumieniu sali (a było nas ze sześćdziesiąt osób) z tłumu wywindowała się w górę uniesiona dłoń.

- *Nooo, cooo?* - zdumiał się RK
- *Ja przepraszam* - zaczął nieśmiało ów dociekliwiec - *a co będzie, jak ktoś nie będzie miał karty zdrowia?*

Na chwilę wszyscy wstrzymaliśmy oddech. Twarz RK pociemniała, sapnął nieco, poczym ryknął:

- *To go wypierdolę!!!*

Celna riposta rozbawiła salę toteż w wesołym nastroju zakończyliśmy zebranie.

***

Pierwszy wyjazd na bunkry wzbudzał zrozumiałe ożywienie. Wszyscy tłoczyli się wokół alpi-nisty MK, który przejął duchowe przewodnictwo. Ujawnił też, że nosi pseudonim K i tak mamy go nazywać. O 8.37 ruszyliśmy podmiejskim pociągiem w kierunku J. Podróż nie dłużyła się wcale. Tłoczyliśmy się wokół K, który opowiadał fascynujące historie o innych alpinistach, a także relacjonował niemniej emocjonujące przygody, które stały się jego udziałem podczas licznych wspinaczek w górach. Wykazywał przy tym zdumiewającą pamięć i szczegółowość, toteż każdy z nas czuł się, jakby sam w tych przygodach

uczestniczył.

Same bunkry trochę mnie rozczarowały - moje niewprawne oczy nie rozpoznawały jeszcze mnogości form i formacji czyniących z betonowych płyt prawdziwy wspinaczkowy raj, przewyższający nawet skałki i dorównujący chropawej surowości granitu. W sukurs przyszedł jednak K i wnet rzuciliśmy się na prezentowane nam **PROBLEMY.**

Toteż gdy przyjechali w końcu instruktorzy, by rozpocząć właściwy kurs byłem już kompletnie wypompowany. Wtedy to z ust K padło określenie „zbułowany", które wywarło na nas niezatarte wrażenie, tak że zaraz wszyscy zaczęli powtarzać, że się „zbułowali", bo dawali z „buły", gdyż droga była „bularska".

Instruktorzy RK i JWK okazali się bardzo ludzcy. Wykazali pełne zrozumienie dla naszej neofickiej żarliwości, nie krzyczeli, a nawet - co warte jest podwójnego podkreślenia - osobiście zaangażowali się w demonstrowanie najwyższej klasy sztuki wspinaczkowej. Alpinista JWK przemknął trudnym trawersem pod wielbłądem wywołując zdumienie i zachwyt wśród całej naszej grupy. Wykonał go nawet w odwrotnym kierunku używając - niebywałe - tylko jednej ręki!

Na bukrach pojawił się też alpinista LW, który począł śmigać po odchylonych od pionu ścianach. Jako jawnie sprzeczne z prawami fizyki odrzuciłem świadectwo mych oczu podejrzewając istnienie tajnych przyssawek w dłoniach LW, bądź też ukrytych haczyków w jego obuwiu. Alpinista RK ponownie jednak (już drugi raz tego dnia) okazał ludzkie serce i powiedział, że tamci alpiniści to oszukują, bo znają na pamięć każdy chwyt i robili te drogi po kilkaset razy.

Tak pocieszeni przystąpiliśmy do zajęć. Ku swemu zachwytowi trafiłem do grupy JWK, razem z D i Ż, z którymi miałem się już wkrótce serdecznie zaprzyjaźnić. Po ostrym biegu na Małe Bunkry rozpoczęliśmy trawersy w garażu. Nic trudnego, a jednak coś było nie tak. Spadałem, a moje ręce poczęły niebezpiecznie szybko puchnąć.

- *Trawersy są trudne, nie martw się* - pocieszał mnie JWK, ja jednak zaczynałem popadać w przygnębienie.

Nieuchronnie stawało się jasne, że w naszej grupie jestem **NAJGORSZY.**

Trawers - źle, ścianka - tragedia, kominek - katastrofa: wszędzie spadałem, podczas gdy moi koledzy bez trudu forsowali przeszkody. Fakt że D i Ż, a szczególnie koledzy S i J byli starymi bywalcami bunkrów pozostawał dla mnie wtedy niewiadomy. I gdy już zwątpienie całkiem odjęło mi wolę walki trafiliśmy pod kolejną ściankę.

- *To jest rysa* - poinformował nas JWK - spróbujcie zaklinować dłonie.

Kolegom jakoś nie szło, a i ja się nie wyrywałem, oczekiwałem kolejnego gorzkiego zawodu. Wreszcie gdy już wszyscy spadli JWK polecił mi spróbować.

Wraziłem dłoń w szczelinę.

- *Podegnij kciuk* - rozkazał JWK

Podgiąłem.

- *Teraz zawiśnij!*

I wtedy stało się coś niepojętego. Jak Łazarz po słowach Chrystusa tak ja oderwałem nogi od ścianki i **ZAWISNĄŁEM**. Nie czułem bólu dłoni przejęty euforią nieoczekiwanego sukcesu.

- *Ha* - ucieszył się JWK - *będziesz dobry w rysach!*

Oszołomiony ze szczęścia stanąłem na ziemi natychmiast wypatrując kolejnych rys, w których byłem tak dobry. Słowa JWK brzmiały mi w głowie jak mantra, niestety nie odwiedziliśmy już żadnej innej rysy. Zamiast tego znowu spadałem ze ścianek, zaciątek, dilferów i przewieszek. Byłem beznadziejny i nie widziałem żadnych szans na poprawę.

Dość powiedzieć, że po powrocie do domu zacząłem poważnie rozważać decyzję o wycofaniu się z tego sportu z powodu „zupełnego braku talentu i przypaku". Wyczerpany do granic ostateczności, z pozdzieranymi do krwi opuszkami rzuciłem się na łóżko głęboko przeżywając swą porażkę. Gdy tylko wspomniałem jak lekko JWK przemykał po *Wolfie*, jak RK gładko forsował *Rysę Środkową* czy *Soczewkę*, mym ciałem wstrząsał niemy szloch i nie widziałem już dla siebie w tym alpinizmie miejsca.

Położyłem się spać brudny - przy myciu także doznałem porażki.

Nie miałem siły odkręcić kranu.

cdn.

Stare jaja

Jan Gondowicz



Kot wywalił mi wczoraj stos książek górskich, na które brak miejsca na półkach, i z rozsypiska wychynął numer „Kuriera Czytelniczego" z targów książki sprzed dwu lat. Skąd „Kurier" na tym stosie, czyżby skleroza? Ale nie: szło o rubrykę „Książki nadesłane" z taką oto wzgardliwą notką: „*»Śledź Otrembus Podgrobelski: Wstęp do imagineskopii«, Wyd. L & L, Gdańsk, wyd. I. Jakieś jaja, może komuś potrzebne.*"

Niezły ten bibliograf. Bo mało, że „*Wstęp...*" ma barwną historię i było to w istocie wydanie trzecie. Rzecz w tym, że Śledź Otrembus Podgrobelski... Ba!

Tu aliści muszę wrócić pamięcią w rok 1972. I oto stoję w pelerynie plastikowej koloru przezroczystego na Hali Gąsienicowej przed prywatnym schroniskiem Bustryckich, zwanym Betlejemką. Stoję tam w dżdżysty dzień wrześniowy i włażę do środka, bo to ostatnia nadzieja na nocleg. Włażę zatem, i oczom moim przedstawia się osobliwy widok.

Przy drzwiach do kuchni, gdzie rezydować zwykła babka Bustrycka z kozą, widnieje olejny, po pępek, portret jegomościa w anglezie z szalowym kołnierzem, z bródką hiszpanką, w cwikierach. Niżej misternie kaligrafowany kartusz głosi, iż jest to Jeremiasz Apollon Hytz, aptekarz-filozof z Podhajec, który prócz innych zasług dla potomności stworzył genialne dzieło „*Uwagi nad próbą zarysu wstępu do pendologii*".

Po prawej, w sąsiedztwie ostro woniejącego wychodka (zawsze śmierdział na deszcz, będąc źródłem trapiącej bywalców, podobnej grypie „francy betlejemskiej"), dostrzec się da starannie rozpiętą ruinę antycznego parasola, puszkę na datki i kolejny kartelusz - wykład doktryny pendu. Kwesta ma na celu zakup nowego parasola pendologicznego, stary bowiem, jak widać, sterał się w walce o tryumf prawdy.

Ze skośnej ściany stryszku, gdzie na warstwie sienników, kołków od kiełbasy, osieroconych trampków i zawieruszonych haków zwykli legiwać tubylcy, skacze do oczu pejzaż w technice pasteli. Przedstawia Czarny Staw wielkości niemal naturalnej w objęciach turni Kościelca i Granatów. Pośrodku tafli, wściekle ultramarynowej barwy, buja samotny łabądek. Innych eksponatów nie pomnę, lecz były - Betlejemkę przesycała intensywna obecność myśliciela z Podhajec. A rano okienko strychu zakrył pierwszy śnieg...

W parę lat potem, gdy miejsce objawienia światu pendologii przybrało kształt szkoły tapternictwa, a magister Zdzisław Jakubowski jął gonić na cztery wiatry poszukiwaczy noclegów, dawni adepci uchylili rąbka sekretu i w roku 1977 ukazał się „*Wstęp do imagineskopii*" (wydanie przejrzane i nie poprawione). Był to traktat opatrzony słowem przedwstępnym, słowem wstępnym i dwoma słowami od autora, a złożony z ośmiu rozdziałów: *Kilka uwag w sensie szerszym, Pobieżne omówienie tego i owego, Co jest czym czego? Niezbędne wyjaśnienia, Krótko ujęte sedno sprawy, Skąd się to wzięło, gdzie i kiedy, Co się z tym porobiło, Co robić w razie czego* oraz *Widoki na przyszłość.* Całości dopełniała bibliografia, obfitująca w takie pozycje, jak *Bardaczny Opanas: „Wspomnienia atamana, cz. II: Jak zrobiłem porządek", Urve Thorbe: „Żeń-szeń, Jasiu, żeń-szeń. Poezja ludowa tajgi ussuryjskiej"* czy *„Zazdrość seksualna u gryzoni polnych (praca zbiorowa)"*, a kończyło streszczenie w jęz. japońskim.

Sedno sprawy (patrz rozdział IV) stanowiła, rzecz jasna, imagineskopia. Zbyt wiele miejsca zajęłby tu wykład, czym się ta dziedzina wiedzy wyróżnia, w czym specjalizuje, a czym wybija na czoło wszechnauk. Grunt, że podstawowym narzędziem owej dyscypliny jest imagineskop, a w nim dziura, czyli przezior, od parametrów którego zależą (tu seria wzorów) określone, a także nieokreślone skutki. Teoretyczną zaś podstawę analizy tych skutków, rozwiniętą do rangi ogólnej teorii wszystkiego, zawdzięcza ludzkość J. A. Hytzowi. Teorie myśliciela z Podhajec przyjęte jednak zostały tak wrogo, że uczony „*popadł w manię prześladowczą, polegającą na urojeniu, że otoczenie ukrywa przed nim istotę pendu, praprzyczyny sprawczej, która tylko jemu jednemu nie jest znana. Urojenie to doprowadziło go do stanu głębokiej depresji psychicznej, zakończonej samobójstwem w toalecie poprzez samospłukanie się*".

Wszystko razem było kpiną z pewnego typu nauki (że wspomnę pracę doktorską pt. „*Odczyn kwaśny w kale łosia*"), paradą absurdu i wstydliwie zamaskowanym hołdem na cześć przedmiotu badań imagineskopii. O Śledziu zaś (skądinąd bardzo znanym) rzec wolno tylko tyle, iż jego sztukę *Rower pancerny* grano przed bardzo już wielu laty w krakowskim klubie Pod Jaszczurami.

Zabawa? Pewno, lecz ponoć w kręgach zbliżonych do bywalców Hali Gąsienicowej, czyli amatorów tzw. wspinaczki halowej, imagineskopia wraz ze swym rynsztunkiem pojęciowym i rozbuchanym życiem instytucjonalnym stanowi wciąż szyfr, dzięki któremu rozpoznają się zwolennicy humoru wyższej próby niż ten pana Drozdy.

Jak odległe zdają się czasy, gdy bezinteresowne zabawy i inne zajęcia absurdalne, jak choćby taternictwo, stanowiły sens istnienia wcale rozległych środowisk! Gdzie dziś ta potrzeba dziury, przez którą świat wyda się ciekawszy? Tatry mogły być sobie - i były - terenem srogich sportowych zmagań, lecz przede wszystkim, tu się uprę, stanowiły imagineskopową dziurę w całym, jeśli nie wręcz totalnym. Psiakrew! Dziura zarosła, a gór nie przybyło.





Z książeczką walutową do NRD

- czyli warszawska ekipa po raz pierwszy w saskich piachach

Tekst: Fnuc
Zdjęcia z archiwum Ewy Kowalik, Roberta Karlaka, Piotra Panufnika

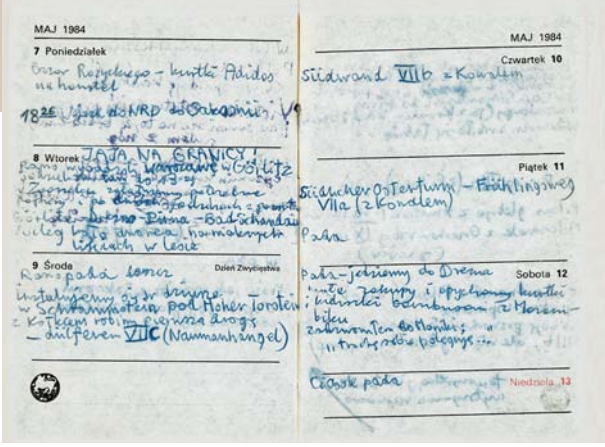
Zanim zacznę o wspinaniu, kilka słów wyjaśnienia dla tych, którzy książeczki walutowej nie pamiętają, bo nie muszą, i dla tych, którzy już o jej niegdysiejszym istnieniu zapomnieli. Był to przykry dokument funkcjonujący we wcale nie tak zamierzchłych czasach tzw. PRL-u, gdy nasza złotówka nie była walutą wymienialną. Książeczka walutowa umożliwiała oficjalną wymianę pewnej ilości polskich złotych na waluty obce (głównie „bratnich" państw socjalistycznych) w ramach pewnego limitu przysługującego każdemu na okres dwóch lat. Proste, prawda? A więc gdy w jednym roku za długo opalałeś się w Bułgarii i wydałeś za dużo lewa, w roku następnym nie mogłeś już wyjechać powspinać się w Czechosłowacji.



Można by rzec: superzajebiście!, ale wówczas jeszcze to słowo nie istniało.

Ostatnio w trakcie przegrzebywania grubych osadów archiwaliów odkryłem to ponure świadectwo minionej epoki. W jednej z rubryk stoi tam jak byk: przydział 400 DM (wschodnioniemieckich:-)) pobrany 4 maja 1984 roku na imprezę nr 5081 (!!!) trwającą od 8 do 17 maja 1984. O tej właśnie „imprezie" chcę napisać kilka słów.

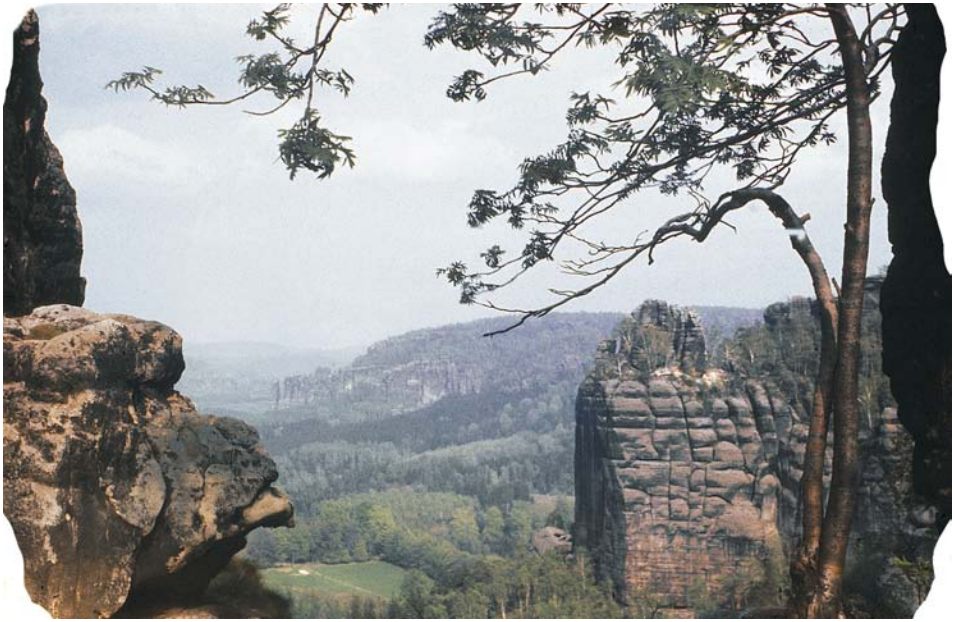
Gdy moje wspinaczkowe pokolenie rozpoczynało działalność, wyjazd do sąsiednich krajów był możliwy jedynie na zaproszenie lub w przypadku wykupienia jakiegoś zorganizowanego pobytu - czyli dla posiadaczy tzw. vouchera. Tak było i tym razem. Przynajmniej teoretycznie. Nasz voucher był skuteczny, bo dzięki niemu mogliśmy dokonać wymiany stosownej waluty przysługującej na każdy dzień imprezy (by móc opłacić pobyt), oraz był wystarczającym dokumentem, aby przy jego pomocy przekroczyć granicę. Tak naprawdę był on sfałszowany. Nie mieliśmy żadnych wykupionych miejsc noclegowych w enerdówku (tak się wtedy nazywał nasz zachodni sąsiad), a organizator wyjazdu - Jan Krzysztof Drożdżeński z Lublina odpowiednio wszystko pokombinował i zachachmęcił w lubelskim Almaturze: za pomocą podrobionego świstka papieru zmontował ogólnopolski wspinaczkowy wyjazd do Saskiej Szwajcarii dla kilkudziesięciu osób. Lublin, Wrocław, Łódź, ... no i Warszawa. Najważniejsze, aby udało się nam przekroczyć granicę. Potem fałszywy voucher mogliśmy wyrzucić do kosza, a sami - udać się w skały.



Na początku lat 80. do polskich wspinaczy zaczęły dopływać informacje o jakichś zupełnie innych niż znane nam do tej pory rejonach wspinaczkowych, i to położonych całkiem niedaleko - tuż za naszą zachodnią granicą. Pojawiały się opisy tajemniczej krainy wolno stojących piaskowcowych turni, a na nich dróg ubezpieczonych z rzadka rozmieszczonymi masywnymi „ringami". Jako pierwsi wizji lokalnej dokonali łodziacy i niebawem w *Taterniczku* i we *Wspinku* pojawiły się artykuły opisujące specyfikę tego rejonu, historię jego wspinaczkowej eksploracji i przybliżające obowiązujące w nim wspinaczkowe *Reguły*. Asekuracja wyłącznie z węzełków oraz z pętli zarzucanych na bloki... Poza rzeczonymi ringami - żadnego żelastwa! Słowo *reibung* określające podstawową tam technikę wspinania - na tarcie. Rysa według tamtejszych wspinaczy to nieprzerwany ciąg chwytów i stopni... Nic dziwnego, że napaliliśmy się, aby to zobaczyć.

W 1984 roku zelżały ograniczenia związane jeszcze ze stanem wojennym i ukazał się na wiosnę w *Taterniczku* artykuł znanego psychola Jasia Fijałkowskiego o wspinaniu w Sasku i Reguły wspinania w piaskowcach wraz z komentarzem. Czas dojrzał, by dokonać inspekcji.

Ekipa z naszego Klubu prowadziła w tym czasie roboty wysokościowe w Pollenie na ul. Szwedzkiej - mycie okien frontowej elewacji. Pollena czekała na przyjazd delegacji ze Związku Radzieckiego. Doświadczony brygadzista





Robert Karlak „Kobra” na drodze *Naumannhangel* VIIc, Hoher Torstein

wysokościowy Tomek Kopyś udzielał praktycznych porad: „Jeśli jakieś okno wydaje się wam czyste, to go przypadkiem nie dotykajcie, bo pobrudzicie. A jeśli któreś jest zbyt usyfione, to z kopa! I tak nikt tego nie zauważy...” Faktycznie. I tak jedna czwarta małych okienek w starej hali produkcyjnej była wybita. Korzystając z lubelskiej okazji ruszyliśmy jednak do Saksonii porzucając tę priorytetową pracę wysoko-ściową w stanie średnio niezaawansowanym. Jak przystało na starych wyjadaczy, do naszego pociągu niektórzy wsiadali w biegu, ale za to zaopatrzeni w chodliwy w NRD towar: kurtki ortalionowe z Bazaru Różyckiego z naszywkami -adidas- oraz kieliszki ze złotym paskiem. Chodziło o zwiększenie naszej siły nabywczej, bowiem niektórzy z nas mieli zostać niebawem tatusiami i mieli w planie specjalistyczne zakupy. A i piwo w Sasku miało być nienajgorsze. Teraz lista płac (czyli oto my): Tadzik „Bruner” Filipowski, Robert „Kobra” Karlak, Jarek „Kowal” Kowalik, Tomek Kopyś, Rysiek „Kołek” Kołakowski (kierownik naszej warszawskiej ekipy, nasz przewodnik i tłumacz), Leszek Milczarek (wschodząca gwiazda), Monika „Ruda” Niedbalska, Mirek „Orzechówa” Nowotnik, Piotr „Pafnuc” Panufnik oraz Krzysiek „Pilawa” Pilawski. Czyli bardzo zacna ekipa. Grupy naszej „imprezy nr 5081” z poszczególnych miast przekraczały granicę w Zgorzelcu osobno. Nas nie ominęły jaja i - nie wdając się w szczegóły - przekroczyliśmy ją dopiero za drugim podejściem. Takie były czasy. Ale potem - pełnia szczęścia: przez Drezno dojechaliśmy pociągiem do Bad Schandau (czyli prawie w interesujące nas miejsce) i mogliśmy pół kilometra od stacji uwalić się na karrimatach na zeschłych liściach. Rano następnego dnia - przejazd do Krippen i wyszukanie miejsca na bardziej komfortowy biwak - duży okap skalny pod Hoher Torstein, bo pogoda nas nie rozpieszczała. Większą część czasu padało. Niestety - tym bardziej niestety, że saskie przepisy zabraniają wspinania się po mokrej skale z powodu obniżenia jej spoistości. Przekonaliśmy się, że to prawda, bardzo szybko: Tomek zwiesił się na jakiejś przeogromnej klamie nad naszą biwakową norą i zwalił się z nią na glebę. Ale otoczenie naszego miejsca zakwaterowania było przepiękne. Środek parku narodowego, za plecami Torstein, przed nami Falkenstein - prawie stumetrowa turnia, od zdobycia której w 1864 rozpoczęła się wspinaczkowa historia tego rejonu, a w dół - strome zbocze pokryte brzozowym lasem.



Nasza nora...

Wieczorem trochę się rozpogodziło i udało się nam z Kołkiem pokonać pierwszą drogę - *Naumannhangel*, VIIc, na Hoher Torstein. Trudności znajdowały się w gładkiej hangelrysie, czyli rysie pokonywanej na odciąg. Do końca pobytu zaznajomili się z nią chyba wszyscy. Byliśmy jej pięknem zauroczeni.

Dokonując wyboru dróg w Saksonii kierowaliśmy się przede wszystkim obecnością na nich odpowiedniej asekuracji. A takich nie było zbyt wiele. Patrzyliśmy się na leżące teoretycznie w zasięgu naszych możliwości trasy z ogromną nieśmiałością. Było dla nas oczywiste, że decyzja o wyborze ewentualnego celu może być brzemienna w skutki. Tak więc atrakcyjność dróg była proporcjonalna do ilości wbitych ringów. Węzełkom początkowo raczej baliśmy się zaufać. Czasami sytuację mogła poprawić pętla zarzucona na jakąś wystającą krawądkę, czasem - ucho skalne. Ale na zbyt wiele nie należało liczyć.

... i nasza świetlica



W siąpiącej mżawce krążyliśmy pod parasolami po okolicy i węszyliśmy, gdzie jest coś skłonnego nas puścić bez możliwego przyglebowania, odbywaliśmy bliższe lub dalsze wycieczki po Schrammsteinie, Affensteinie i Schmilce - czyli po pobliskich rejonach. Podczas kolejnego rozpogodzenia co ponie-którym udało się wedrzeć którąś z rys na Falkensteina. Ringi co prawda początkowo były, ale w górnej części rysa rozwierała się tworząc dość wąski, powoli rozszerzający się komin, którym trzeba było - już bez ringów - dokopulować ze 30 metrów brakujące do wierzchołka ponad ostatnim ringiem. A tam czekało kolejne wyzwanie: aby dotrzeć do ringa zjazdowego, trzeba było przeskoczyć na sąsiednią turniczkę, następnie zejść skomplikowanym trawersem na żywca, wreszcie wejść w zapieraczkę w kolejnym kominie. Takie drogi w piachach i skomplikowane orientacyjnie drogi zejściowe to norma. A przewodnik uzmysławiał nam, że norma ta robiona jest przez tutejszych wspinaczy już od ponad stu lat... Niezłą mieli psyche...

Jednak w kolejne dni rano budził nas deszcz. Rozpalaliśmy ognisko ze świeżo ściętych mokrych brzózek. Dymiło okrutnie, ale robiło się cieplej. Dyżurny donosił tutejsze zacne piwko i tak mijał nam czas. Czasem wykorzystywaliśmy chwilę nieuwagi zatoki niżowej i wbijaliśmy się w kolejną drogę. W czasie nasilających się opadów natomiast udaliśmy się któregoś razu do Drezna w celach handlowych. W jednym z zapyziałych hoteli robotniczych na przedmieściach nasze kurtki -adidas- i -parmalat- oraz kieliszki ze złotym paskiem opchnęliśmy bezproblemowo murzynom z Mozambiku pracującym w pobliskiej fabryce produkującej zderzaki do trabanta. Tak więc wzmocnieni finansowo mogliśmy dokonać zakupów sporej ilości deficytowej w kraju bielizny niemowlęcej, akrylowych kocyków i tym podobnych gadżetów. No i oczywiście piwa! Miło było wieczorkiem siąść sobie nad Łabą z butelką w ręku i patrzeć w dal...


Naumannhangel VIIc


Frühlingsweg VIIa


Brunera zejście z Falkensteina


Kowal na *Westwand* VIIa


Pławą rowadzki *Kaminelwand* VIIc


Relaks nad Łabą...


Lechu na *Südwestpfeiler* IXa

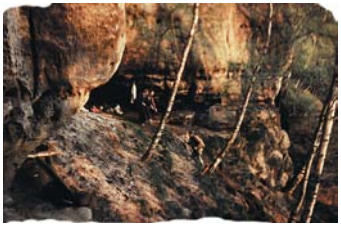
Jeden z powrotów z Bad Schandau był dla niektórych kolegów nie lada wyzwaniem. Zawody w spożywaniu piwa przyczyniły się poważnych trudności. Stromy i rozmokły stok poniżej naszego biwaku stał się dla nich przeszkodą nie do pokonania bez asekuracji. Musieliśmy zainstalować poręczówkę, a i tak nie obyło się bez wyciągania, by mogli dotrzeć do ciepłych śpiworów...

Pod koniec pobytu udało się Lechowi i Orzechówie znaleźć ciekawą drogę. Wypatrzyli na jednej z turni drogę o trudnościach IXa - *Südwestpfeiler*, a następnie ją założyli.

W któryś z ostatnich dni Pilawa poprowadził piękną drogę *Knirpelwand*, VIIc, położoną tuż nad naszym biwakiem. Po pięknym wspinaniu otwartą ścianą, na drugim wyciągu, mieliśmy okazję zastosować tam żywą drabinę. :-)

I tak oto powoli wyjazd dobiegł końca. Dla mnie był bardzo ważny, bo odkryłem dzięki niemu zupełnie nowy świat - świat piaskowcowego wspinania. Samo to odkrycie świata piachów w roku było dla mnie tak piękne, że nie byłem wówczas bardzo zmartwiony tym, że pogoda poprawiła się dopiero po powrocie do Warszawy, gdzie już czekała na nas praca na Pollenie. Okazało się, że nie było co zbytnio śpieszyć się z myciem. Zastaliśmy robotę praktycznie zakończoną: w międzyczasie dzikie wino, którym obrośnięta była ściana, tak się zazieleniło, że zasłoniło wszystkie nieumyte jeszcze fragmenty elewacji. Tak więc z odbiorem roboty nie było żadnych problemów!

Dodam jeszcze, że przebywający od dłuższego czasu w USA Bruner, nagabnięty e-mailem, czy ma coś przeciw opublikowaniu opisu słynnego podejścia do obozowiska, odpisał, co następuje: „Gwoli ugruntowania prawdy historycznej: przy sporządzaniu opisu słownego naszej z Milczarkiem akcji górskiej proszę nie pominąć faktu, że po spożyciu 48 piw pokonałem naszego mistrza we współzawodnictwie wspinaczkowym. Oraz że do pokonywania ściany grodziowej tuż przed biwakiem zabraliśmy się z dolna asekuracją. Lechu odpalił niestety i w wyniku obrażeń nie był w stanie prowadzić. Dopiero wtedy użyliśmy liny podanej z góry. Ściskam.”





Zajęcia w świetlicy





MAŁOŁĄCKA RAPSODIA

Tekst i zdjęcia: Jan Muskat

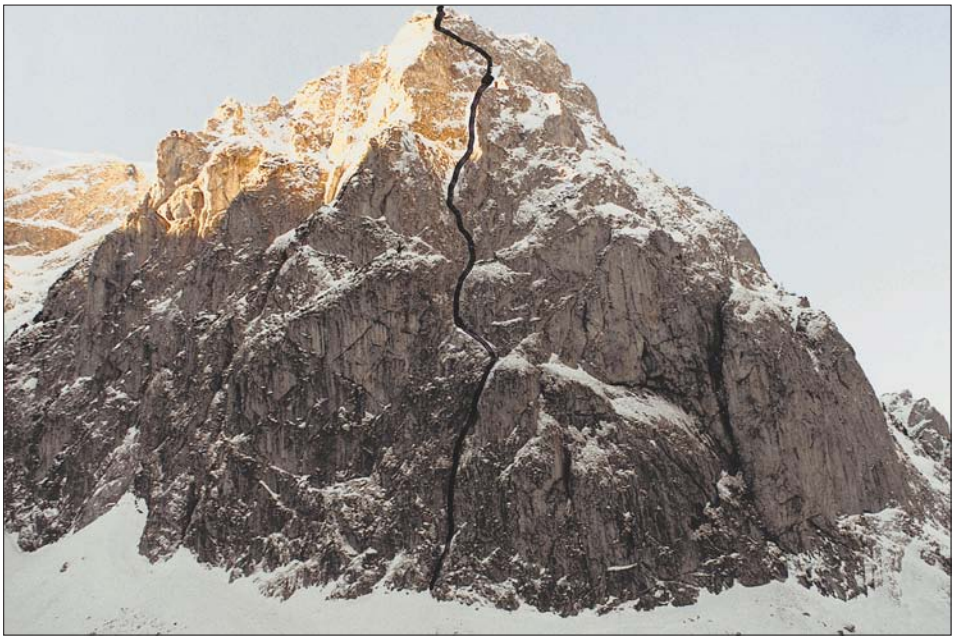
Początek lutego - warunki wspinaczkowe zbliżone do ideału. Umawiam się z Tadkiem Grzegorzewskim na pierwsze zimowe, a zarazem klasyczne przejście zupełnie zapomnianej drogi Ryszarda Malczyka na wsch. ścianie Wielkiej Turni.

„*Komin Malczyka* - dr. z lata 1970 roku. Tr. VI, czas przejścia 6 godz.”. Tak informuje „Taternik”. W „kapowniku” wspinaczkowym Ryśka znajduje dodatkową informację - AF, czyli all free, co znaczy , że wspinacz przechodzi drogę klasycznie, może jednak odpoczywać w poszczególnych punktach asekuracyjnych. Nie ma żartów, myślę, będzie bardzo trudno. Jesteśmy jednak naładowani optymizmem po przejściach *Tańczącego z nogami* VII- i *Chochołowskiego dentysty* VII. Zwłaszcza Tadek kipi energią, jest gotowy na każde wspinaczkowe wyzwanie. W niedzielę, 7 lutego, podchodzimy Małą Łąką, podmuchy halnego skutecznie zwalniają nasze tempo. Mamy za to więcej czasu na kontemplowanie otaczającego nas piękna. Podchodzimy w piątkę - Tadek Grzegorzewski i Andrzej Chrobak, obaj z Nowego Targu, oraz dwaj młodzi adepci wspinaczki, moi podopieczni, Szymon Szaluś i Dawid Krzyściak z Zakopanego. Po dwóch godzinach stajemy pod wsch. ścianą Wielkiej Turni.

Początek trudności, wspina się Tadek Grzegorzewski



Wprost nad nami *Komin Malczyka*, stromy i odpychający. Brakuje Szymona i Dawida - są pierwszy raz w tej dolinie i zawieruszyli się gdzieś w trakcie podejścia. Tak jak przypuszczałem, poszli w kierunku Giewontu, ale w porę ich zawróciliśmy. Jesteśmy w komplecie. Asekurowany przez Andrzeja Tadek zaczyna się wspinać. Szybko dochodzi do pionowego komina i tam utyka na dobre. Dawid z Szymonem zgłębiają tajniki zakładania stanowisk, hamowania czekanem itp. Z własnej inicjatywy kopią jamę w śniegu, która jest znakomitym schronieniem przed lodowatymi podmuchami wiatru. Instynkt samozachowawczy zadziałał. Ekwilibrystyczne pozycje Tadka i delikatnie mówiąc żółwie tempo są idealnym odzwierciedleniem ekstremalnych trudności (z doświadczenia wiem, że na tego typu wyciągach gros czasu traci się na asekurację). Po przejściu dolnej części komina Tadek zjeżdża, chce odpocząć, łapią go skurcze mięśni. Zmieniam go na prowadzeniu. Usiłuję wcisnąć się w wąski, wypychający komin. Każdy metr do góry okupiony jest ogromnym wysiłkiem. W górnej części komina wiszą



Wielka Turnia, wsch. ściana, Droga Malczyka VII, czas przejścia 10h

zaklinowane, dudniące bloki, zmuszając mnie do szczególnej ostrożności. Widzę je już w myślach spadające i tnące bez pardonu moja linę. Sam nie wiem, jak przechodzę to miejsce. Na wyjściu z komina stary, zardzewiały, wygięty hak!. Wpinam się w niego z wielką ulgą. Wyżej strome płyty z rzadka porośnięte kępami traw. Wspinanie bardzo trudne, ale porównując je z morderczo męczącym kominem, to tylko czysta formalność. Kończę wyciąg i zakładam stanowisko. Satysfakcja i radość w pełni rekompensują trudy przebytego wyciągu. Zjeżdżam likwidując punkty asekuracyjne, a w głowie: „Pierwszy wyciąg na drodze Malczyka został pokonany klasycznie".

Pozostawiona lina - wędka umożliwia wszystkim pozostałym uczestnikom zmierzenie się z kominem. Tadek i Andrzej przechodzą cały wyciąg, natomiast Szymon z Dawidem tylko dolną część, ponieważ zapada zmrok. Ściągamy linę. Chcemy przyjść tutaj jeszcze raz i w całości zrobić drogę. Pakujemy plecaki. Ostatni rzut oka na ścianę Wielkiej Turni i w powoli zapadających ciemnościach schodzimy na dno doliny. Ustalamy zgodnie trudności I wyciągu na VII zimowe.

*

Dwa dni później jesteśmy znów pod ścianą Wielkiej Turni. Nie ma Szymona i Dawida - obaj są w szkole. Dołączył do naszego zespołu Jacek Jania. Tak jak wcześniej ustaliliśmy, Tadek prowadzi pierwszy wyciąg - wspina się bardzo równo. Schodzę na dno doliny zrobić kilka zdjęć. Pogoda fantastyczna, nawet wiatr, prawie zawsze wiejący w Małej Łące, ucichł zupełnie. Widzę, że Tadek kończy wyciąg. Wracam pod komin, wkładam pośpiesznie uprząż, wiąże się liną i ruszam asekurowany przez Tadka. Przeszedł komin w pięknym stylu. Moje zadanie to drugi wyciąg o trudności V+. Patrzę do góry, pierwsze metry wyglądają

zachęcająco. Wyżej czysta skała, lekko przewieszona, wygląda dużo trudniej, niż sugeruje opis. Andrzej z Jackiem są już na stanowisku. Zgodnie potwierdzają trudności komina. Zaczynam się wspinać - po chwili dochodzę do przewieszenia, i tu miłe zaskoczenie. Prawa strona to zacięcie, dające możliwości przejścia klasycznego. Krucha skała na początku zacięcia kosztuje mnie trochę nerwów i wybija z rytmu. Koncentruję się teraz bardziej na asekuracji. Kolejny hak wbity w bardziej litą szczelinę daje mi poczucie bezpieczeństwa. Parę delikatnych ruchów i wchodzę w łatwiejszy, oświetlony słońcem teren. Ściągam Andrzeja i Tadka. Jacek podchodzi na jumarach. Słońce grzeje jak w lecie, rozbieram się do połowy i rozkoszuje tą chwilą. Następny wyciąg prowadzi Andrzej. Jest to jego debiut na tego typu drodze. Przechodzi go sprawnie, no może zbyt ryzykownie. Po trzecim wyciągu pochyła półka z kosodrzewiną ledwo mieści naszą czwórkę. Dwa następne wyciągi w depresji są Jackowi i mnie dobrze znane. W 1996 roku przechodziliśmy je jako kontynuację *Listy Obecności* (VI) Tadek ma prowadzić czwarty wyciąg. Nie wyczuwam entuzjazmu z jego strony. Jest, jak twierdzi, bardzo zmęczony. Wiem o tym dobrze i widzę to w jego oczach. Dał z siebie wszystko w kominie na I wyciągu. To prawda, ale chcąc być wspinaczem z prawdziwego zdarzenia, nie można poprzestać na prowadzeniu wyciągu, choćby był ekstremalnie trudny. Miał wystarczająco dużo czasu, żeby zregenerować siły.

- *Jak jesteś taki zmęczony, to cię opuścimy pod ścianę. Tam sobie odpoczniesz!* - mówię ironicznie.

To zadziałało natychmiast. Tadek bez słowa rusza do góry. Wymieniamy z Jackiem porozumiewawcze spojrzenia. Im jest wyżej, tym więcej entuzjazmu słychać w jego głosie. Prosi o zdjęcia, widać, że pomimo zmęczenia wspinaczka sprawia mu ogromną radość.

Patrzę na Tadka, ale rzeczywistość powoli się zaciera, wracam myślami do przeszłości. To samo miejsce, ta sama skośna półka z kosodrzewiną. Stoimy na niej z Ludwikiem Wilczyńskim, śledząc zmagania Jacka na tym pięknym i trudnym wyciągu. Osiem lat minęło, a tutaj nic się nie zmieniło, tylko my trochę starsi, ale za to bogatsi o nowe doświadczenia - Mam stanowisko - głos Tadka wyrywa mnie z zamyślenia. Ruszam do góry .... Prowadzę następny wyciąg, to koniec większych trudności. Wygodna, duża półka daje poczucie pełnego komfortu. Czekam na chłopców. Są już wszyscy. Chwila odpoczynku. Rozwiązujemy się i pakujemy sprzęt do plecaków. Pozostałą część postanawiamy przejść bez asekuracji, jednak kruche spiętrzenie grani zmusza nas do ponownego związania się liną. W zapadającym zmierzchu stajemy na plateau Wielkiej Turni. Pierwsze zimowe, a zarazem klasyczne przejście *Komina Malczyka* stało się faktem. Uściski dłoni i rozpoczynamy mozolne zejście.

Droga Malczyka na Wielkiej Turni
(propozycja zimowej wyceny) :
- pierwszy wyciąg VII
- drugi wyciąg VI-
- trzeci wyciąg V+/VI-
- czwarty wyciąg VI/VI+

Powyższy tekst został opublikowany za zgodą „Tygodnika Podhalańskiego”.

Przypis red.:

Komin Malczyka - w literaturze występuje też jako Rysa i Depresja Malczyka (przewodnik W. Cywińskiego tom 2 str. 68, droga nr 35). Pierwsze przejście Jerzy Łabędzki i Ryszard Malczyk 19.08.1970, VI AF.

TATRZAŃSKA SZKOŁA WSPINANIA

ZAPRASZA NA:

KURSY SKAŁKOWE

KURSY TATRZAŃSKIE

WEJŚCIA NA WSZYSTKIE SZCZYTY TATRZAŃSKIE

PRZEWODNICTWO WSPINACZKOWE

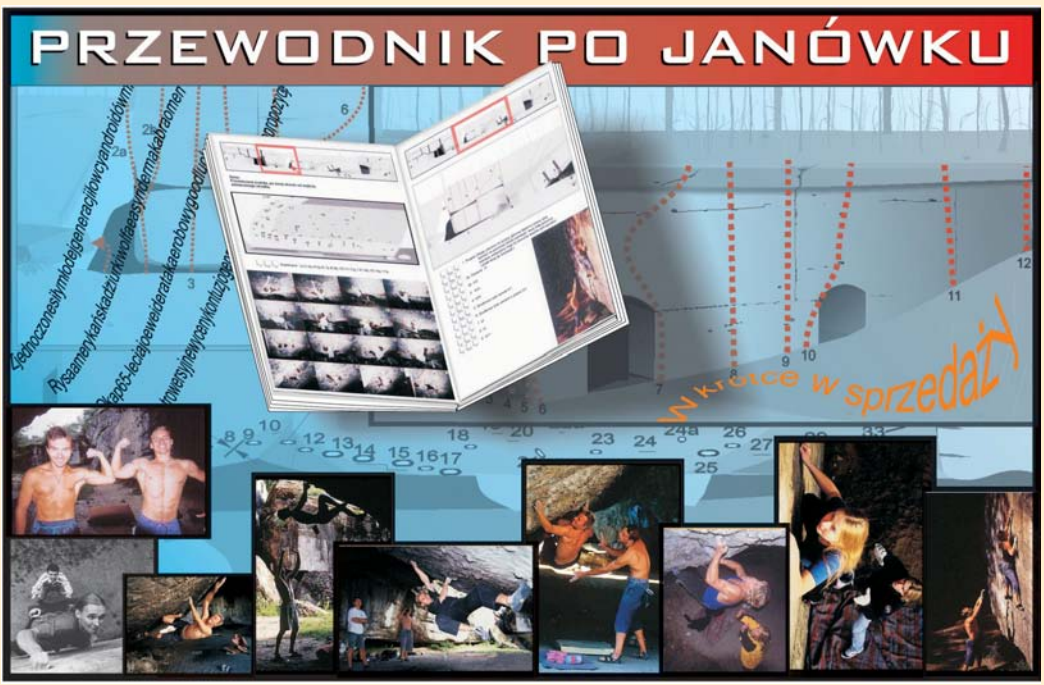
LATO I ZIMA

BAZA NOCLEGOWA

Jan Muskat
INSTRUKTOR TATERNICTWA
Tel. 0 18 2068007
607 079 421

Jacek Jania
Tel. 0 18 2062746
601 844 131

Współpraca
Grzegorz Bittmar



TATRZAŃSKIE LATO A.D. 2002

Tekst: Mariusz Wilanowski

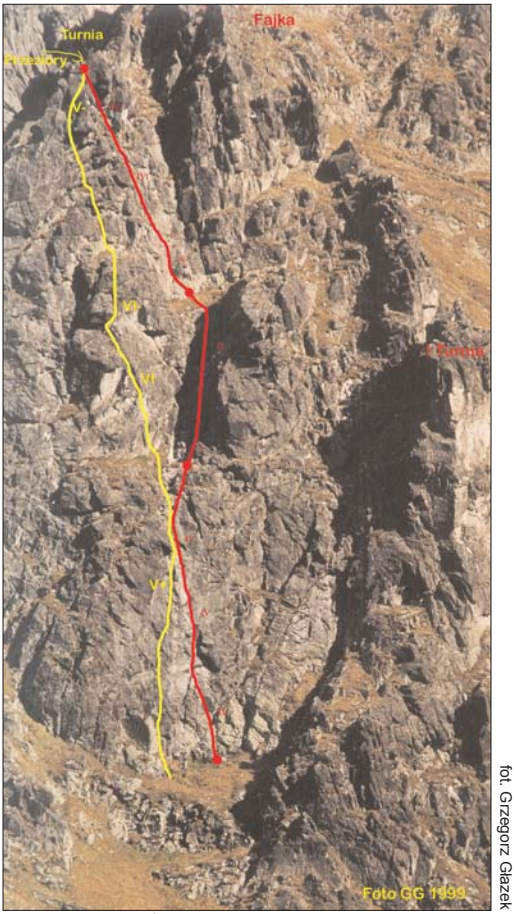
Letni sezon A. D. 2002 jest już faktem i w moim odczuciu, był to sezon pod wieloma względami, jeśli nie wyjątkowy, to co najmniej bardzo udany w stosunku do paru poprzednich. Nie da się ukryć, że poziom i natężenie ruchu wspinaczkowego w Tatrach są w dużej mierze uzależnione od panującej w nich pogody. Pogoda zdała się w tym roku dopisać i w rejonie Morskiego Oka sypnęło masą ciekawych przejść. Ale po kolei. Patrząc na całokształt tego, co działo się w tym roku w polskich Tatrach, podzieliłem swoje spostrzeżenia na akcenty pozytywne i negatywne.

Zacznę od tego co cieszy. Po raz kolejny okazało się, że można na pokrytych gęstą siatką dróg ścianach poprowadzić kilka kolejnych nowych linii. Pierwszą nowością było prowadzenie RP starego projektu Andrzeja Marcisza *Stąd do wieczności* (pomiędzy *Długoszem* a *Kantem Filara*) na ścianie Kazalnicy przez samego autora. Droga, poświęcona pamięci Ryśka „Rika" Malczyka, mająca opinię bardzo ładnej, została wyposażona w 22 nity, a jej wycena ustalona na VI.2 2xA0 (A0 w okapie). Jak można się było domyślić, droga szybko stała się kandydatką do odhaczenia. Już na początku sierpnia miały miejsce dwa powtórzenia (Grzegorz Mikowski i Maciek Tertelis - pierwsze, Maciek Ciesielski i Kuba Radziejowski - drugie) - oba zespoły pokonały jednak kluczowy okapik A0. Pod koniec sierpnia pod drogą pojawił się Darek „Łysy" Sokołowski w towarzystwie Szymona Gutka. Wspomniana dwójka po przejściu drogi A0 (trzecie przejście) zaatakowała powtórnie dwa dni później z zamiarem przejścia klasycznego. Zdaniem autora drogi, pokonanie czysto kluczowego okapiku na drodze podniosłoby trudności do około VI.5. Tymczasem „Łysy", któremu udało się pokonać dotychczasowe miejsce A0 klasycznie, wycenił trudności na VI.3+. Jaka będzie ostateczna wycena *Stąd do wieczności* ? - pokażą zapewne powtórzenia drogi w przyszłym roku.

Dużo nowego działo się w masywie Żabiego Mnicha - być może po części dzięki obszernej monografii tego rejonu w poprzednim numerze A/Zero autorstwa Grzegorza Głazka. Pierwsza nowość powstała w grani Żabiej Lalki i rozwiązuje ścianę tzw. Turni z Gwoździem. Autorzy drogi Czesław Szura i Grzegorz Głazek nazwali swoją drogę *Mały Nieznany Świat* a jej wycena to VI w bardzo ciekawej scenerii - długość i wycena poszczególnych wyciągów to: 40m V+, 20m III, 25m VI, 25m V+, 30m IV+. Zdaniem autorów pierwszego przejścia w kluczowym miejscu jest wymagająca asekuracja, a na całej drodze przydają się friendy do 4 cm, grube haki typu duża rynna oraz haki typu noże. Jeszcze w czerwcu Paweł Federak i Maciek Kubera dorobili na Żabim Mnichu wariant prostujący *Drogę Malczyka* na odcinku dojścia pod „dupę". Trudności VI. Co do samego *Malczyka*, to droga jest podobno bardzo ładna z ciągowymi trudnościami i luksusową asekuracją a wycena oscyluje raczej wokół VI-. Poniżej oryginalny opis nowego wariantu autorstwa Maćka Kubery:

„Po dojściu do drugiego stanu z dwoma stałymi hakami, zamiast trawersu w prawo pochylą płytą (hak) w kierunku przewieszki/okapu idziemy w skos prawo w górę przez ściankę z wiszących "ciosów" do zaciątka/ryski. Nią w górę na stopień, przez przewieszkę na filarek i wprost w górę do "dupy". Ze stopnia parę kroków w lewo do ryski z hakiem w przewieszce. Potem w górę i do ewidentnej rysy (nie chodzonej bo trawy rosną) o szerokości 1-3 palca w lewo skos."

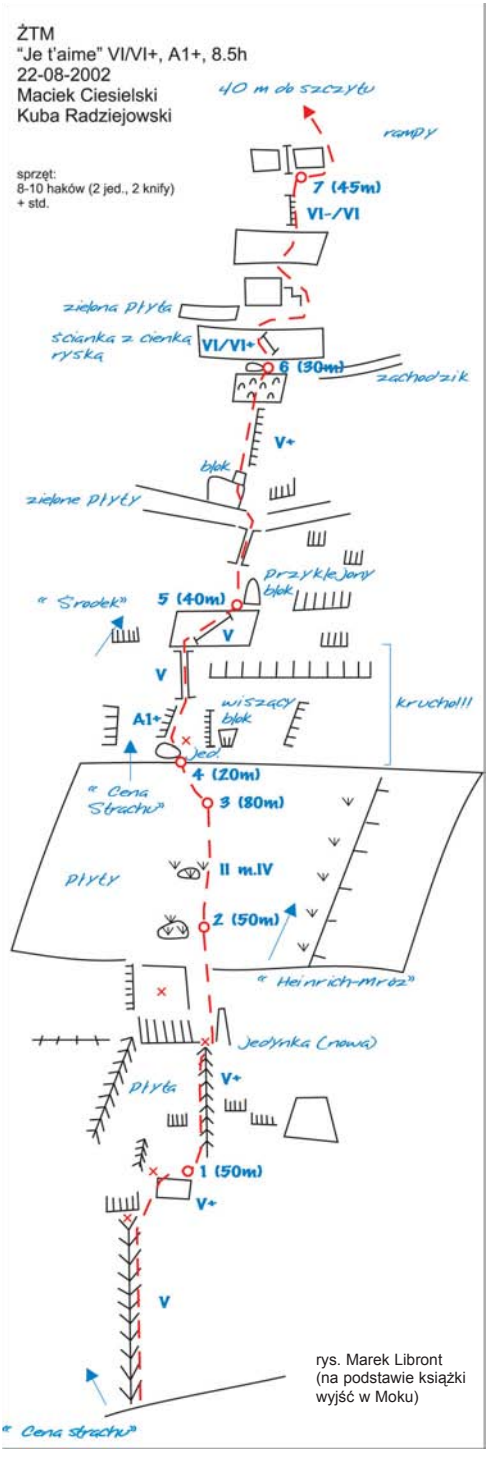
W sierpniu na Przeziorowej Turniczce (dół masywu Żabiego Mnicha) powstała za sprawą Andrzeja Dutkiewicza i Artura Paszczaka *Du-Pa* IV. Biegnie ona na prawo od drogi Głazka i Szury (szczegóły na zdjęciu), asekuracja z kości, a o urodzie drogi sami autorzy nie wyrażają się zbyt pochlebnie. Nowa linia przybyła także na Ministrancie za sprawą zespołu Adam Pieprzycki i Marcin Rosa w postaci drogi *Imperium Motyli*. Droga biegnąca na lewo od *Polskiego Muppet Show* (łączy się z nią na ostatnich metrach) zajęła zespołowi 3 dni i z wyceną VI- A3 należy się spodziewać, że do najłatwiejszych nie należy. Dzień później basen Morskiego Oka wzbogacił się o kolejną drogę - tym razem na ścianie Żabiej Turni Mięguszowieckiej. Maciek Ciesielski i Kuba Radziejowski wytyczyli - ośmio wyciągową *Je t'aime* VI/VI+ A1+. Droga startuje razem z drogą *Heinrich - Mróz* a w górnej części biegnie pomiędzy Heinrichem a Ceną Strachu.



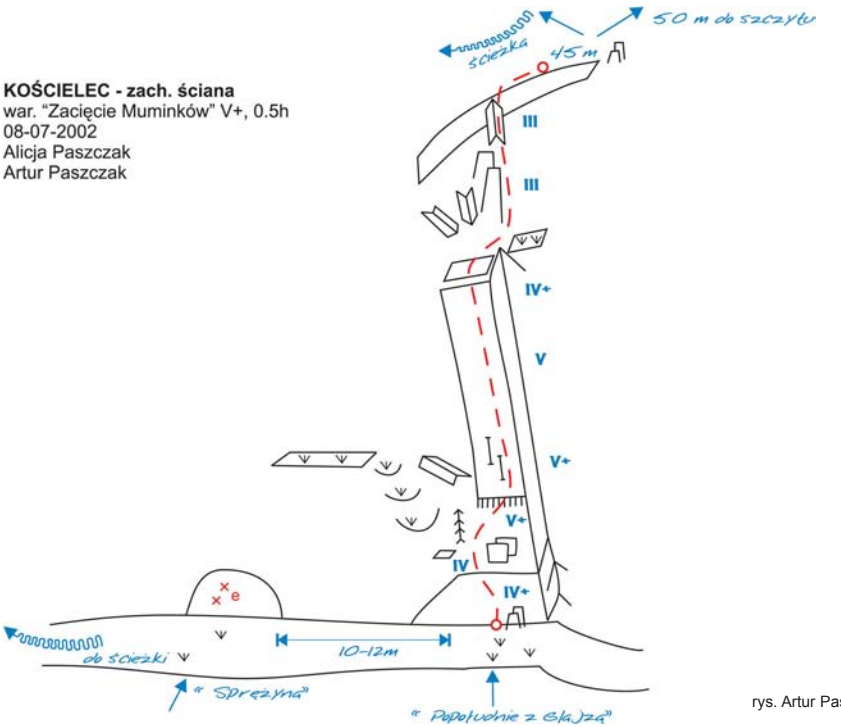
żół.: *Mały Nieznany Świat*
czer.: *Du-Pa*

fot. Grzegorz Głazek

Ostatnią z wielkich tegorocznych nowości jest *Cud Niepamięci* VII+ A3 na Turni Zwornikowej Cubryny autorstwa Maćka Ciesielskiego i Adama Pieprzyckiego. Prowadzenie drogi było rozłożone na dwa dni i wiodło dołem w linii dawnej próby Jana Łąckiego „Aligatora" i Marka Lipińskiego na prawo od formacji zwanej Cygarem. Wyżej drogę należy umiejscowić pomiędzy *Direttissimą Falco-Muskat* a *Momą*. Poza jednym (czwartym) wyciągiem droga jest samodzielna, a autorzy przejścia pozostawili po sobie 3 spity na stanowiskach i kilka haków. Skała w dolnej części lita, w górze zwłaszcza w strefie przewie-szonej bardzo krucha - droga polecana przez autorów na zimę. Potrzebny sprzęt: komplet kości, friendy, 12 jedy-nek plus kilka małych, ok. 7 knifów, tyle samo łyżek, parę v-ek, 2-3 skyhooki (duże rozmiary). Właściwie wszystko wydawało by się OK gdyby nie nazwa drogi.



rys. Marek Libront
(na podstawie książki wyjść w Moku)



rys. Artur Paszczak

Wiele osób na pewno pamięta, że tak właśnie (Cud Niepamięci) nazwał swój wariant na Mniszku w 1993 roku Maciek Tertelis. Autorzy tegorocznej nowości na T.Z.C. mimo sugestii, nazwy nie zmienili tak więc mamy w Moku drugi „cud".

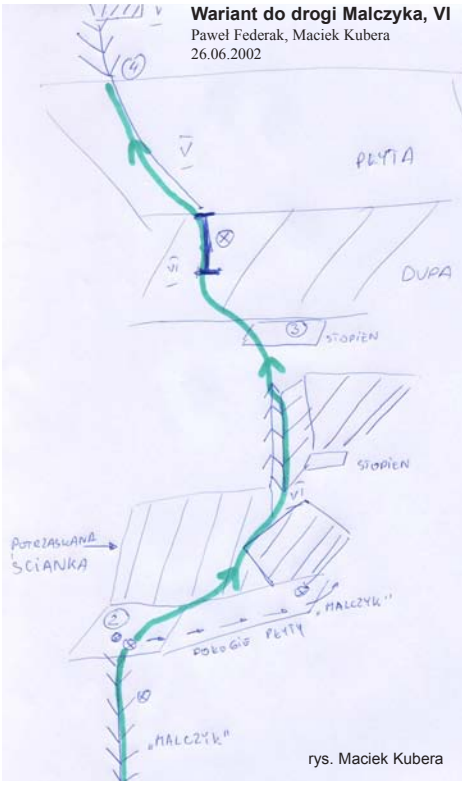
To co zwraca uwagę i bardzo cieszy, to niespotykany od dawna ruch na takich ścianach jak Kazalnica, który miał swoje podstawy, po pierwsze w dobrych warunkach pogodowych, po drugie w pojawieniu się górach sporej grupy młodych wspinaczy, którzy dobre przygotowanie ze skałek coraz częściej pożytkują na tatrzańskich ścianach. Absolutny rekord został pobity w sobotę 6 lipca, kiedy na Kazalnicy doliczono się 8 zespołów. Czasy, kiedy na Zerwę chodziła elita wspinaczkowa wydaje się minęły bezpowrotnie. Coraz częściej słyszy się o zespołach kursowych, pokonujących *Łapińskiego*, *Małolata* czy *Schody do Nieba*. Poza dużą ilością przejść popularnych standardów (*Warianty Małolata* VI+, *Malczykówka* VI+, *Schody do Nieba* VI+) zanotowano sporo wspinaczek *Kantem Filara* VII+ (mamy tu już do czynienia z trudnym standardem) i dwa przejścia *Epitafium* VII+ a także jedną próbę zakończoną wycofem na *Heinrichu-Chrobaku* VIII-.

Z innych ścian na czoło wysuwają się dwa klasyczne przejścia *Wariantu R* IX na Mnichu przez zespoły Robert Rokowski - Adam Pieprzycki i Agnieszka Ostrzałek i Paweł Zioło. Sąsiedni *Saduś* IX/IX+ doczekał się bardzo zaawansowanej próby przejścia klasycznego za sprawą zespołu Piotr Drobot - Maciek Oczko, których zmyła z 4 wyciągu zlewa. Mnich był w tym sezonie wyjątkowo oblegany, a wiele trudnych dróg doczekało się kolejnych przejść. Z trudniejszych: *Baryła-Stonawski* VIII OS - Szczepan Głogowski i Wojtek Michalski (autorzy przejścia znaleźli na drodze dobite, ich zdaniem zupełnie niepotrzebnie 2 spity), *Łapiński* VIII- OS - Agnieszka Ostrzałek i Paweł Zioło. Jedno przejście otrzymał *Wachowicz* VIII. Drogi takie jak, *Fereński* VII/VII+ czy *Kant Hakowy* VII miały wiele przejść, w tym nierzadko w OS-ie. Przejścia wciąż nie może się doczekać wymagająca

2+1 VIII z 1988 r - być może, fakt ten zmieniłoby obicie drogi, o czym zaczęły krążyć w środowisku pogłoski.

Z ciekawszych przejść w rejonie Moka, kilka miało miejsce solo. Już w czerwcu Robert „Menel" Sieklucki przeszedł, w tym cenionym stylu, kombinację *Kantu Filara* z *Długoszem* (VIII AF). Do swoich solowych przejść „Menel" dorzucił kilka dni później *Łapińskiego-Paszuchę* VI- na Zerwie. Przejście zajęło mu 4,5h, asekurował się na odcinku od Hokeja do wyjścia z Górnego Komina. Tą samą drogę, także solo, pokonał klubowy kolega Roberta - Krzysiek Sadlej w dobrym czasie 2h 40 min. Z innych samotnych przejść w rejonie Morskiego Oka, wypada wspomnieć o przejściu *Direttissimy* VI Mniszka przez Adama Pieprzyckiego (A0 - mokro). Pozostałe wspinaczki miały miejsce na standardach, głównie na Mnichu (*Orłowski* V, *Klasyczna* V, *Międzymiastowa* VI+, *Zemsta Wacława* VI+/VII-, *Sprężyna* VII-). Jedną z ciekawszych solówek popisał się Czesław Szura, przechodząc pod koniec lipca *Sprężynę* VI+ na Małym Młynarzu. Jak się później okazało, przejście to było tylko preludium do głównego celu, jakim była znana łańcuchówka „Expander", czyli 4x *Sprężyna* (Mały Młynarz, Kocioł Kazalnicy, Mnich, Kościelec) po raz pierwszy doczekała się przejścia w 1989 r. w czasie 17h przez Krzysztofa Pankiewicza i Piotra Panufnika (drugie przejście - Krzysztof Belczyński i Marcin Tomaszewski w 23 h w 1996 r). Tym razem celem było samotne przejście tych czterech dróg. W nocy z 24 na 25 sierpnia, robiąc 100-metrowe wyciągi, Czesław przeszedł najpierw ścianę Małego Młynarza a potem Kocioł Kazalnicy. Niestety, około godziny 16 duża zlewa zatrzymała go pod trzecią drogą, pod wschodnią Mnicha. Do tego momentu, czas przejścia non-stop wynosił 18h i szansa na dokończenie tego ambitnego przedsięwzięcia w czasie 24h była bardzo duża. Pozostając przy łańcuchówkach - ciekawą próbę polegającą na połączeniu trudnej drogi na Zerwie i kontynuacji jedną z dróg na Mięguszach podjął zespół w składzie Miłosz Jodłowski, M. Tabaka i Piotr Tyrna. Chłopcy, po przejściu w dobrym czasie 6h *Kantu Filara* VII+ na Kazalnicy, uderzyli na *Surdela* V na Wielkim Mięguszu. Niestety, po pokonaniu 2/3 drogi, musieli wycofać się z powodu złych warunków atmosferycznych.

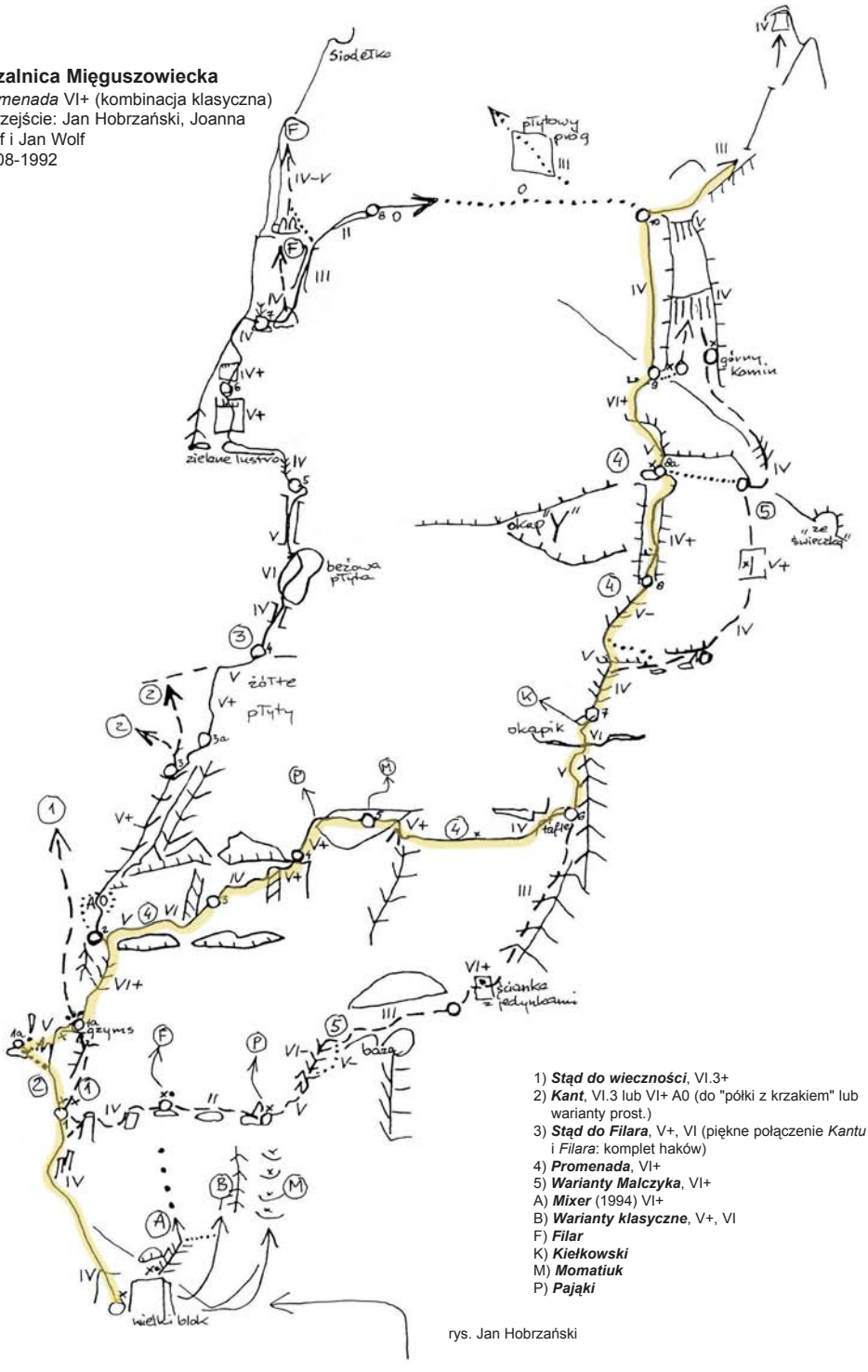
Trochę inaczej, w stosunku do ubiegłego sezonu, miała się sprawa z przejściami hakówek. O ile rok temu, za sprawą Wrocławian (A/Zero, 1/2002), powtórzeń doczekały się poważne drogi spod znaku „haka, ławy i trzęsiony" o tyle w tym, tylko przejścia



Wariant do drogi Malczyka, VI
Paweł Federak, Maciek Kubera
26.06.2002
rys. Maciek Kubera

Polskiego Muppet Show i *Nauki Haczenia* zasługują na przypomnienie. „Mapety" obecnie V+ A2+ doczekały się w tegorocznym sezonie letnim trzech przejść, z których ostatnie autorstwa Tomka Szumskiego i Tomka Poloka w rekordowym czasie 5h 40 min. pokazuje do jakich granic można wyśrubować czas na drodze, która kilka lat temu uchodziła za hakowy ekstrem. Druga ze wspomnianych - *Nauka Haczenia* V A4+ na Wielkiej Turni w Tatrach Zachodnich doczekała się za sprawą Pawła Federaka i Maćka Kubery drugiego letniego (a trzeciego w ogóle) pełnego powtórzenia. Przejście odbyło się z poręczowaniem i dwoma biwakami. Powstałe wokół tego przejścia kontrowersje wynikają z faktu osadzenia przez autorów powtórzenia spitów na drodze. I tak, kolejno przybyły: na stanach 1 i 2 - po jednym spicie, stan nr 3 - 2 szt., stan 4 nad okapem - 1 spit i stanowisko nr 5 nad płytą - 2 spity. Dobito też spita na przełamaniu ściany w łatwym terenie trawiastym na tzw. Wielkiej Płycie.

Kazalnica Mięguszowiecka
Promenada VI+ (kombinacja klasyczna)
1 przejście: Jan Hobrzański, Joanna Wolf i Jan Wolf
07-08-1992



1) ***Stąd do wieczności***, VI.3+
2) ***Kant***, VI.3 lub VI+ A0 (do "półki z krzakiem" lub warianty prost.)
3) ***Stąd do Filara***, V+, VI (piękne połączenie *Kantu* i *Filara*: komplet haków)
4) ***Promenada***, VI+
5) ***Warianty Malczyka***, VI+
A) ***Mixer*** (1994) VI+
B) ***Warianty klasyczne***, V+, VI
F) ***Filar***
K) ***Kiełkowski***
M) ***Momatiuk***
P) ***Pająki***

rys. Jan Hobrzański

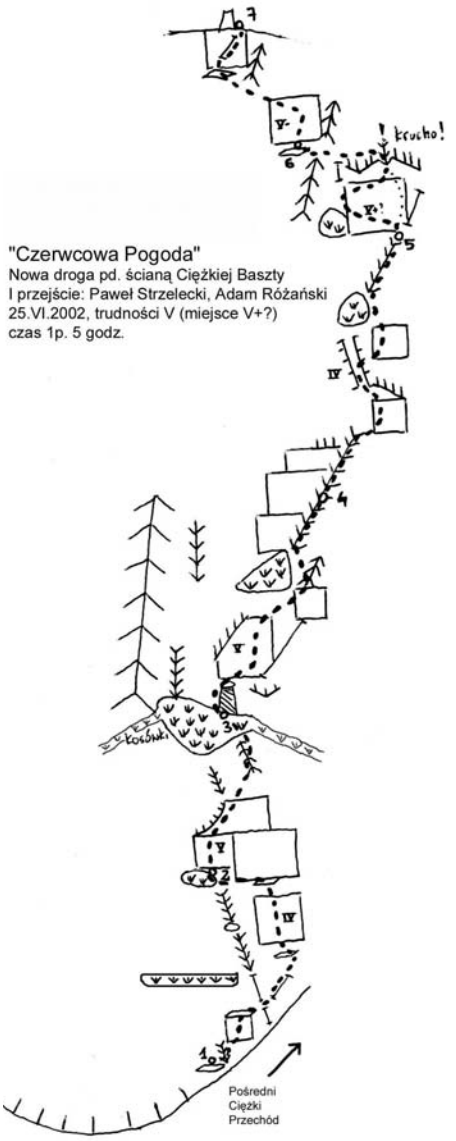
Zdaniem wspinaczy dobite spity nie mają wpływu na trudność drogi. Zastanawiające jest to, że wraz z dobiciem nowych stałych punktów autorzy powtórzenia postulują obniżenie wyceny, ich zdaniem w okapie jest maksymalne A2+, a w płycie A3.

Pozostając jeszcze w Tatrach Zachodnich - dotarła do nas informacja o powtórzeniu *Łamańca* VI.5 na Raptawickiej Turni przez Marcina Gąsienicę-Kotelnickiego i Darka Kałużę. Obaj wspinacze poprowadzili najtrudniejszy wyciąg tej wymagającej drogi Wojtka Kurtyki i trzeba dodać, że byli pierwszymi, którym się to udało od czasu jej powstania w 1991 roku.

Podobna „zmowa milczenia", jak przy informacjach z Tatr Zachodnich dotyczy rejonu Hali i Piątki - tak więc newsy z tych rejonów są mocno niekompletne. Na Zamarłej Turni, za sprawą Maćka Tertelisa i Wojtka Wenty, doczekaliśmy się „nowych" wariantów prostujących *Klasyczną*. *Warianty klasyczne* VI pozwalają na przejście starej drogi z ominięciem „dolnego" i „górnego" trawersu. Nowy jest prawdopodobnie tylko dolny fragment wyprowadzający poprzez charakterystyczny okap na prawo od trudności *Sayonary*, wprost na koniec „dolnego trawersu". Górny fragment, wiodący lekko wywieszoną rysą pozwalającą ominąć „górny trawers", był już prawdopodobnie chodzony w przeszłości. „Nowe" odcinki zostały zrobione w tradycyjnym stylu od dołu i oferują doskonałą asekurację z kości i friendów. Sąsiednia *Sayonara* VIII+ doczekała się kolejnego przejścia, a dokonali tego w stylu OS Grzegorz „Ges" Grochal i Robert Rokowski. Wygląda na to, że na wyjściu w okapiku coś się urwało i zdaniem prowadzącego ten wyciąg „Gesa" trudności są wyższe niż VII+. Na tej samej ścianie Piotr Korczak i Tomasz Lewandowski przeszli OS-em *Mu-Mu-Mu* VIII - biegnącą w lewej części drogę Maćka Tertelisa. O nowy wariant na zachodniej ścianie Kościelca postarali się Alicja i Artur Paszczakowie. *Zacięcie Muminków*, bo taką nazwę otrzymała nowość, oferuje piękne wspinanie (1 wyciąg) w litej skale za V+. Wariant startuje z trawiastego zachodu, na którym kończą się m.in. *Sprężyna* i *Popołudnie z Glajzą* - i jest polecany jako kontynuacja tych dróg. Asekuracja z kości i cienkich haków (szczegóły na schemacie - str. 64).

Na koniec omówienia sezonu letniego, kilka informacji z południowej strony Tatr. Nową drogę na południowej ścianie Ciężkiej Baszty poprowadził zespół w składzie Paweł Strzelecki i Adam Różański. *Czerwcowa pogoda*, bo tak nazywa się nowość, biegnie na prawo od prawego filara, którym biegnie droga Kiszeli i Sidora z 1999 roku. Oferuje na sześciu wyciągach ładne wspinanie za V+ (asekuracja z kości, friendów i cienkich haków). Zarówno schemat, jak i słowny opis znajdziecie w tym numerze A/Zero. Swoją obecność na Słowacji zaznaczył też mocny zespół: Szczepan Głogowski i Piotr Panufnik. Plon ich sierpnio-wego pobytu w górach to: *Hokejka* VI (zach. Łomnicy), *Wielkie Zacięcie* VI+/VII- (pd. Kieżmarskiego Szczytu), *Stanisławski* V (do szczytu, pn. Małego Kieżmarskiego) i *Červene previsy* VII (pd. Jastrzębiej Turni). Z pewnością większość osób pamięta ubiegłoroczną spektakularną solówkę Marcina Kacperka na Słowacji. W tym sezonie podobnym przejściem a kto wie czy nie lepszym stylowo błysnął Włodek Knot. 9 lipca Włodek przeszedł *Wielkie Zacięcie* VI+/VII- na Kieżmarskim Szczycie (dojście do Zacięcia drogą *WHP 3335*, V) plus *Grań Wideł* V - ściśle granią przez trzy uskoki. Wszystko to solo, bez asekuracji i bez znajomości. Jak przekazał nam autor informacji Czesław Szura - czystość stylu przejścia Włodka była porażająca - *„miał jedynie woreczek na magnezję*" !!. Ostatnią nowością ze Słowacji jest informacja od Andrzeja Skłodowskiego o poprowadzeniu przez Andrzeja „Młodego" Machnika z różnymi partnerami, 12!! nowych dróg. Szczegóły i schematy najciekawszych z nich w osobnej notatce poniżej.

Nie sposób nie wspomnieć też o tych smutnych obliczach naszej działalności w górach, czyli o wypadkach. Niestety, większość tegorocznych wypadków z udziałem taterników (w lipcu i sierpniu miejsce miało 6 wypadków) posiada cechę wspólną, którą z grubsza można określić jako brak wyobraźni. 4 lipca podczas wycofów ze *Schodów do Nieba*, dwójka wspinaczy, założyła ostatni zjazd ze sparciałej pętli, która po obciążeniu przez pierwszego w zjeździe dosłownie rozeszła się na oczach partnera. 30 metrowy lot pod ścianę zakończył się ciężkimi obrażeniami mózgu. Trzy tygodnie później, na Żabim Mnichu miał miejsce wypadek z rodzaju „cudownych ocaleń". Sytuacja niemal identyczna, jak ta na Kazalnicy, założony zjazd ze starej pętli, która podczas zjazdu pęka. Na szczęście lina w trakcie spadania zahacza się o występ skalny i wszystko kończy się szczęśliwie, „tylko" na obrażeniach. 4 sierpnia na *Wariantach Małolata*, na jednym z ostatnich wyciągów w skutek poślizgnięcia się na mokrej skale, odpadł prowadzący w zespole taternik, doznając złamania nogi w kostce. Zespół został ze ściany zdjęty przez śmigło, i była to pierwsza akcja, w której do ewakuacji rannego ze ściany użyto tzw. długiej liny. Ostatni wypadek, niestety śmiertelny, miał miejsce na Mnichu i wydarzył się 10 września. Trójka wspinaczy podchodziła ze Żlebu Mnichowego wariantem Świerza pod właściwe trudności jednej z dróg na wschodniej Mnicha. Teren w tym miejscu, choć nie ekstremalnie trudny (II-III), to jednak kruchy i obfitujący w strome trawy. Dwójka wspinaczy była związana, trzeci ufny w swoje umiejętności zdecydował się na pokonanie tego odcinka bez asekuracji. Chwila nieuwagi i 30 metrowy lot do podstawy ściany zakończył się tragicznie.



rys. Paweł Strzelecki

Dwa pierwsze wypadki mogłyby nie mieć miejsca, gdyby ich uczestnicy wykazali choć odrobinę wyobraźni. W ścianach tkwi pełno starych (często nie wyglądających aż tak źle, jak nam się wydaje) pętli stanowiskowych, w które często wpinamy się bez zastanowienia. Niestety trzeba przyjąć dla własnego dobra, że wszystkie napotkane w ścianach pętle i haki traktujemy z bardzo ograniczonym zaufaniem (haki sprawdzamy, a pętle dokładamy swoje). Nie oszczędzajmy tych kilkunastu złotych na pętlach, a w konsekwencji na naszym życiu. Ostatniego z opisanych wypadków wydaje się, że też można było uniknąć. Nie od dzisiaj wiadomo, że najwięcej wypadków zdarza się w łatwym terenie.

Na koniec jeszcze jedna przykra sprawa, po raz kolejny niestety w tym sezonie mieliśmy do czynienia z zachowaniem, które trzeba stanowczo potępić. Mowa o pozostawianiu partnerów po zakończeniu wspinaczki. Sytuacja taka miała miejsce w połowie września, kiedy to jeden z zespołów po zakończeniu wspinaczki na drodze *Schody do Nieba* schodził nocą przez Bańdzioch. Słabszego z taterników nad ranem odnalazł ratownik TOPR-u po tym, jak pozostawiony przez swojego szybszego kolegę (wiem kim jesteś !) błądził w Bańdziochu. Sobie i innym życzę na przyszłość wolniejszych, ale bardziej godnych zaufania partnerów.

NOWE DROGI I WARIANTY

CIĘŻKA BASZTA

- *Czerwcowa pogoda* V+; Adam Różański i Paweł Strzelecki 25.06.2002.

KAZALNICA MIĘGUSZOWIECKA

- *Stąd do wieczności* VI.2 2x AO; Andrzej Marcisz i W. Marcisz - praca nad drogą (z różnymi partnerami) trwała z przerwami od 1995 roku, ostateczne przejście 11.07.2002.

KOŚCIELEC

- *Zacięcie Muminków* V+; Alicja Paszczak i Artur Paszczak 08.07.2002. Nowy wariant na zach. ścianie Kościelca.

MINISTRANT

- *Imperium motyli* VI- A3; Adam Pieprzycki i Marcin Rosa 21.08.2002

TURNIA ZWORNIKOWA CUBRYNY

- *Cud Niepamięci* VI.2 A3; Maciek Ciesielski i Adam Pieprzycki 05.09.2002.

ZAMARŁA TURNIA

- *Warianty klasyczne* VI; Maciej Tertelis i Wojtek Wenta 30.07.2002. Warianty pozwalające przejście Klasycznej bez „dolnego" i „górnego" trawersu.

ŻABIA LALKA (TURNIA Z GWO□DZIEM)

- *Mały Nieznany Świat* VI; Grzegorz Głazek i Czesław Szura 27.07.2002. Nowa 5 wyciągowa droga poprowadzona na Turni z Gwoździem (turnia leżąca w grani Żabiej Lalki).

ŻABI MNICH

- nowy wariant do *Drogi Malczyka* VI; Paweł Federak i Maciek Kubera 26.06.2002.

ŻABI MNICH (PRZEZIOROWA TURNICZKA)

- **Du-Pa** IV; Andrzej Dutkiewicz i Artur Paszczak 22.08.2002

ŻABIA TURNIA MIEGUSZOWIECKA

- *Je t'aime* VI/VI+ A1+; Maciek Ciesielski i Jakub Radziejowski 22.08.2002. 8 wyciągów; 8,5h

CIEKAWSZE PRZEJŚCIA - POWTÓRZENIA

KAZALNICA MIĘGUSZOWIECKA

- *Epitafium* VII+;
  Maciek Ciesielski i Andrzej Sokołowski 31.08.2002 RP.
  Paweł Frądczak i Tomasz Szumski 01.09.2002 OS (w zlewie do Półki z Simondami)
- *Kant Filara* VII/VII+;
  Adam Pieprzycki i Kuba Wrona 21.06.2002 RP znając
  Mariusz Nowak i Marcin Szczotka 23.06.2002 OS 6h
  Wojciech Kurz i Artur Magiera 06.07.2002
  Filip Reinhardt i Krzysztof Sadlej 13.07.2002
  Miłosz Jodłowski, M. Tabaka i Piotr Tyrna 18.07.2002 6h
  Dariusz Sokołowski i Szymon Gutek 19.08.2002 RP (pokonali oni drogę wariantem oryginalnym wyceniwszy jego trudności na VI.2+(VIII-))
  Paweł Frądczak i Tomasz Szumski 25.08.2002 OS (wariantem oryginalnym)
- *Stąd do wieczności* VI.2 2x AO;
  Grzegorz Mikowski i Maciej Tertelis 04.08.2002 (pierwsze powtórzenie - 2x A0)
  Maciek Ciesielski i Jakub Radziejowski 04.08.2002 (drugie powtórzenie - okapik A0)
  Dariusz Sokołowski i Szymon Gutek 20.08.2002 (trzecie powtórzenie - okapik A0)
  Dariusz Sokołowski i Szymon Gutek 22.08.2002. Pierwsze klasyczne przejście drogi - propozycja wyceny VI.3+)
- *Symfonia Klasyczna* VII;
  Maciek Ciesielski i Jakub Radziejowski 23.08.2002. Dół drogi OS, kluczowy wyciąg Flashem i po połączeniu z Filarem RP bez.

MIĘGUSZOWIECKI SZCZYT WIELKI

- *Droga Smólskich* V+/VI;
  Krzysztof Sadlej i Marek Wojnacki 03.07.2002

CZOŁÓWKA MSW

- *Miękkie Ruchy* VII+;
  Paweł Kopta i Adam Pieprzycki 13.07.2002 OS
  Maciek Ciesielski i Jakub Radziejowski 16.07.2002 OS
- *Porfawora* VIII;
  Marek Pobran i Michał Wiśniewski 29.07.2002 OS
  Andrzej Lipka i S. Kogut 23.08.2002 RP

MINISTRANT

- *Polskie Muppet Show* V+ A2+;
  Tomasz Osypiński i Marcin Rosa 04.08.2002 12h
  Rafał Gruszczyński i Mirosław Koprowski 08.08.2002
  Tomasz Polok i Tomasz Szumski 08.09.2002 5.40 h !!!

MNICH

- *Baryła-Stonawski* VIII;
  Mariusz Nowak i Marcin Szczotka 06.07.2002 RP
  Szczepan Głogowski i Wojtek Michalski 23.08.2002 OS. Na drodze autorzy powtórzenia zauważyli dobite dwa spity - ich zdaniem dobite niepotrzebnie.
  Mariusz Nowak i Marcin Szczotka 06.07.2002 RP
- *Fereński* VII; Robert Rokowski i Adam Pieprzycki 06.07.2002 OS
  Maciek Ciesielski i Andrzej Sokołowski 26.07.2002 OS
  Mariusz Nowak i Marek Migdał 26.08.2002 OS
- *Superkancie* VII-;
  Maciek Ciesielski i Andrzej Sokołowski 26.07.2002 RP
  Michał Wiśniewski i Marek Pobran 27.07.2002
- *Łapiński* VIII-;
  Agnieszka Ostrzałek i Paweł Zioło 06.07.2002 OS
  Łukasz Kierzoń i Łukasz Warzęcha 09.07.2002 RP
- *Wachowicz* VIII; Michał Skiba i tow. 26.08.2002
- *Wariant R* IX;
  Agnieszka Ostrzałek i Paweł Zioło 06.07.2002 RP
  Adam Pieprzycki i Robert Rokowski 23.08.2002 RP
- *Ny-Ny-Ny* VIII-; Tomasz Osypiński i Marcin Rosa 06.08.2002 RP

KOPA SPADOWA

- *Bastion* VII-;
  Paweł Kopta i Adam Pieprzycki 12.07.2002 OS
  Maciek Ciesielski i Andrzej Sokołowski 27.07.2002 OS
- *Jak oskalpować Apacza ?* VII+; Andrzej Lipka i S. Kogut 22.08.2002

RAPTAWICKA TURNIA

- *Łamaniec* VI.5; Marcin Gąsienica - Kotelnicki i Darek Kałuża czerwiec 2002. Pierwsze powtórzenie drogi.

WIELKA TURNIA

- *Nauka Haczenia* V+ A4+; Paweł Federak i Maciej Kubera 07-08.09.2002. Trzecie pełne powtórzenie drogi.

ZAMARŁA TURNIA

- *Sayonara* VIII+; Grzegorz Grochal i Robert Rokowski 05.05.2002
- *Mu-Mu-Mu* VIII; Piotr Korczak i Tomasz Lewandowski lipiec 2002

ŻABIA TURNIA MIĘGUSZOWIECKA

- *Środek* VI+; Marcin Malka i Maciej Bazała 27.08.2002

PRZEJŚCIA SAMOTNE

KAZALNICA MIĘGUSZOWIECKA

- *Kant Filara* (z obejściem Drogą Długosza) VIII; Robert Sieklucki 22.06.2002 AF
- *Łapiński-Paszucha* V+/VI-;
  Krzysztof Sadlej 02.07.2002, 2h 40min.
  Robert Sieklucki 06.07.2002

KOCIOŁ KAZALNICY

- *Sprężyna* VI+; Czesław Szura 25.08.2002 (podczas próby solowego przejścia łańcuchówki „Expander"- 4x *Sprężyna*)

MAŁY MŁYNARZ

- *Sprężyna* VI+; Czesław Szura 26.07.2002 i 25.08.2002. Czesław pokonał tą drogę solo dwukrotnie (drugi raz pod czas próby solowego przejścia łańcuchówki „Expander"- 4x *Sprężyna*)

MNICH

- *Międzymiastowa* VI+; Tomasz Osypiński 17.08.2002 RP
  Jan Kuczera 22.08.2002 OS
- *Sprężyna* VII-; Jan Kuczera 23.08.2002
- *Zemsta Wacława* VI+/VII-; Tomasz Osypiński 17.08.2002 RP

MNISZEK

- *Direttissima* VI; Adam Pieprzycki 17.08.2002 (AO - mokro)

„Młody" łoił na Słowacji

Znany gliwicki wspinacz, autor wielu górskich książek Andrzej Machnik („Młody" - chociaż liczy już sobie 49 wiosen) miał udany letni sezon 2002 r. w Tatrach Słowackich. Poprowadził tam kilkanaście nowych dróg i to na „honornych" ścianach - takich jak zachodnia Gerlacha czy zachodnia Łomnicy. Na większości z tych szlaków partnerem „Młodego" był Paweł Maleta z Krakowa (wcześniej kursant Machnika).

Nowe drogi to m.in. zachodnia ściana Gerlacha - pomiędzy *Brneńską Cestą* a *Drogą Kurczaba*, zachodnie urwisko Łomnicy - szlak wytyczony pomiędzy Kopejkowym Filarem a *Drogą Puskasa*, wschodnia ściana Małego Krywania (z doliny Ważeckiej), zachodnie i wschodnie urwiska Krywania, Szatan od zachodu, Kołowy od wschodu oraz Lodowy Szczyt - wschodnią ścianą.

Poniżej wykaz przejść, a obok schematy dwóch dróg Machnika opracowane przez autora.
(Do druku podał Andrzej „Baron" Skłodowski listopad 2002 r.).

HLIŃSKA TURNIA
- nowa droga lewą częścią pn. ściany V, 3h; Andrzej Machnik i Paweł Maleta 21.08.2002.

KOLISTA TURNIA
- nowa droga pn.-zach. ścianą (z Wielkiego Ogrodu) III, jeden wyciąg IV, IV+ miejscami krucho, 3h; Andrzej Machnik i Paweł Maleta 27.08.2002.

KOŁOWY SZCZYT
- nowa droga lewym żebrem wsch. ściany IV+, 2h; Andrzej Machnik i marek Michalski 07.09.2002.

KRYWAŃ
- nowa droga lewą depresją zach. ściany wprost na wierzchołek V+, 4h, skała lita; Andrzej Machnik i Paweł Maleta 31.08.2002
- nowa droga środkowym filarem wsch. ściany wprost na wierzchołek III-V, 3h, 400 m; Andrzej Machnik i Paweł Maleta 30.07.2002

LODOWY SZCZYT
- nowa droga lewą częścią wsch. ściany IV, 3h; Andrzej Machnik i Paweł Maleta 03.09.2002. Przez większą część ściany droga wiedzie wypłukaną rynną będącą ściekiem wody.

LODOWY ZWORNIK
- nowa droga środkiem pd.-wsch. ściany VI, 2h; Marek Dzieżok i Andrzej Machnik 24.06.2002.

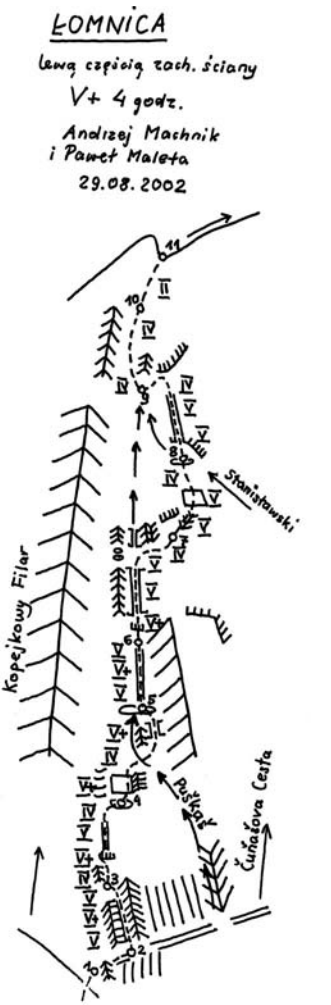
MAŁY KRYWAŃ
- nowa droga środkiem wsch. ściany lewego żebra (Ważeckiej Kazalnicy); V - VI, miejsce VI+ (3 m), 3,5h; Andrzej Machnik i Paweł Maleta 24.08.2002

SZATAN
- nowa droga zach. żebrem (z Dol. Młynickiej) II-III, jeden wyciąg IV+, 3,5h Andrzej Machnik i Paweł Maleta 22.08.2002

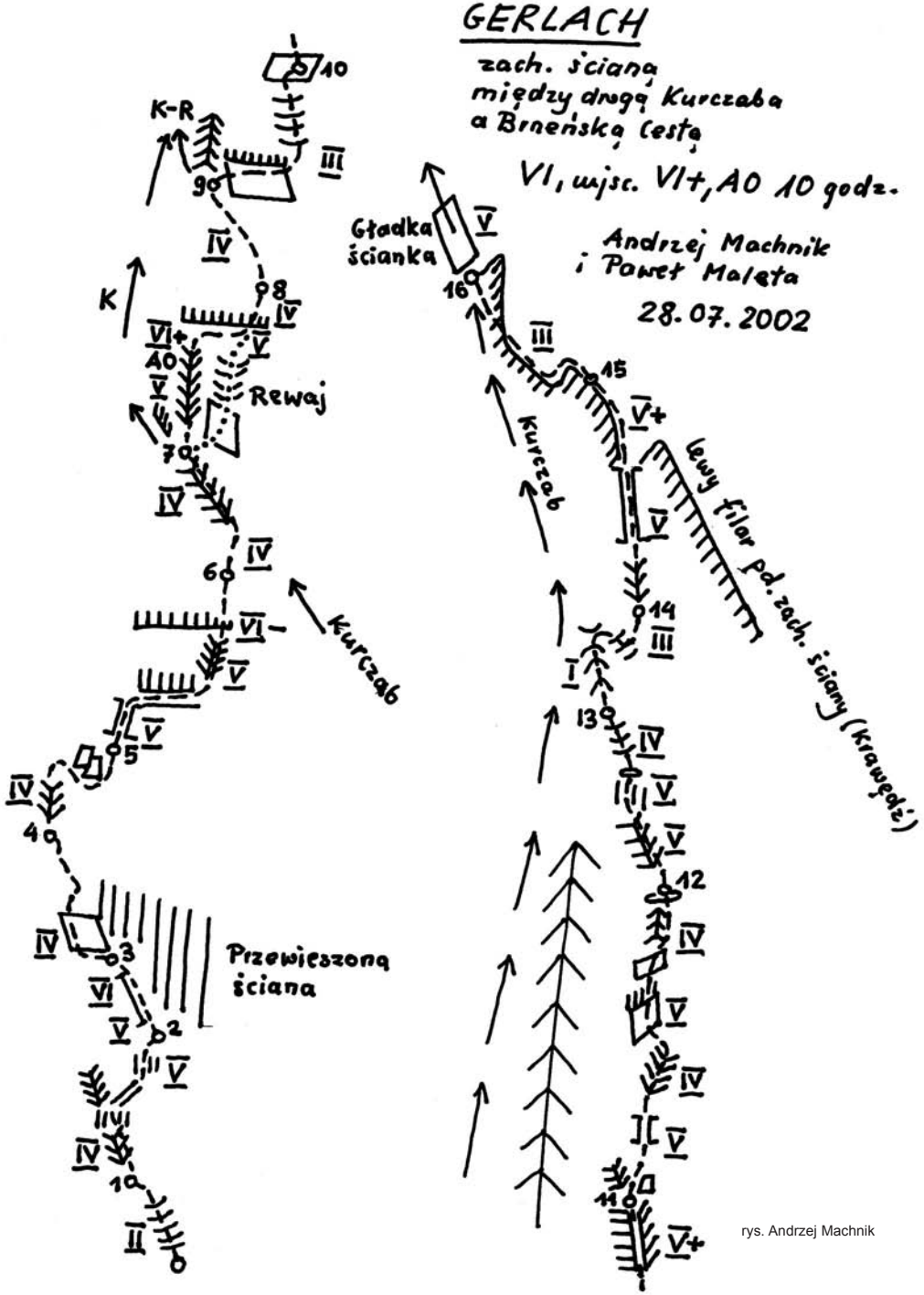
SZCZYRBSKI SZCZYT
- nowa droga pn. ścianą - żebrem na prawo od komina III-IV, jeden wyciąg V, niezwykle krucho, 4h; Andrzej Machnik i Paweł Maleta 19.08.2002.

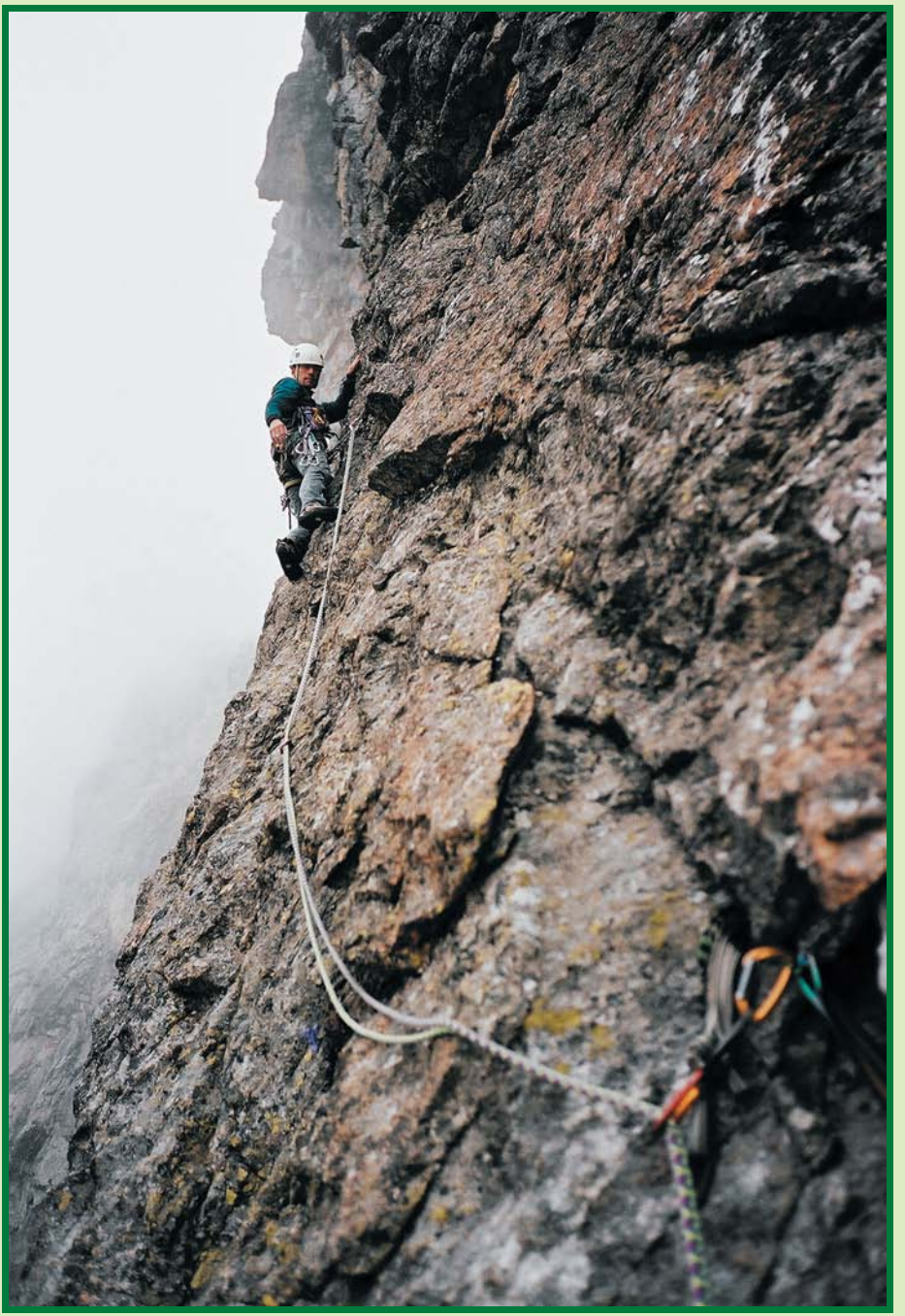
ŁOMNICA
- nowa droga lewą częścią zach. ściany V+, 4h; Andrzej Machnik i Paweł Maleta 29.08.2002

GERLACH
- nowa droga zach. ścianą między *Drogą Kurczaba* i *Brneńską Cestą* VI, miej. VI+, A0, 10h; Andrzej Machnik i Paweł Maleta 28.07.2002



rys. Andrzej Machnik


GERLACH
zach. ścianą między drogą Kurczaba a Brneńską cestą
VI, wjsc. VI+, A0 10 godz.
Andrzej Machnik i Paweł Maleta
28.07.2002
K-R
K
Rewaj
Kurczab
Przewieszona ściana
Gładka ścianka
Kurczab
Lewy filar pd. zach. ściany (Krawędź)
rys. Andrzej Machnik



Szczepan Głogowski, *Červene Previsy* VII, Jastrzębia Turnia - Dolina Kieżmarska

Alpejski przekładaniec pogodowy 2002

Andrzej „Baron" Skłodowski

Wiosną tego roku przeszedłem na emeryturę, więc postanowiłem pojeździć intensywnie w Alpy - z Iwoną, przyjaciółmi i klientami. Po licznych zmianach planów byłem ostatecznie tam 5 razy i trafiłem na istny pogodowy przekładaniec.

Marzec
Pojechałem na Grossglockner z Robertem i Jarkiem. Obaj byli pierwszy raz w Alpach. Nawet nie zobaczyli gór, nie mówiąc o wspinaniu. Za to na autostradach było 20 cm świeżego śniegu.

Kwiecień
Z Iwoną, Markiem Grochowskim i Piotrem Pietrzakiem (słynna oś łódzko-warszawska) chcieliśmy wejść na Hochalmspitze (3360 m) we wschodnich Taurach. Skończyło się na dwóch sąsiednich, znacznie łatwiejszych górach. W głębokim śniegu i zawiei „padł" Winterleitenkopf (2518 m), a potem już w słońcu - Schneewinkelspitze (3016 m). Ale wyjazd był, jak zawsze w tym składzie, przedni towarzysko.

Maj
Na długi majowy weekend prognoza pogody na obszar Tatr była wspaniała. Ale nam zachciało się Alp. I przez dwa dni obserwowaliśmy - Iwona, Robert, Waldek, Tomek i ja - jak świeży śnieg zasypuje miasteczko Saas Grund w Alpach Walijskich. Góry oglądaliśmy w telewizji. Uciekliśmy do Austrii. Tu też nie było lepiej, ale w Pitztal dało się przynajmniej zrobić dwie wycieczki, a chłopaki pojeździli na nartach. Ostatecznie wylądowaliśmy z Iwoną w Dolinie Wielickiej i zrobiliśmy (też firn, chociaż nie alpejski) dwa żleby: Kwietnikowy i Karczmarza na Gerlachu. Dobre i to.

Lipiec
Zaczęliśmy z Piotrkiem od Monte Cedevale (3769 m) w Ortlerze. Potem w Alpach Walijskich był Nadelhorn (4327 m) i kolejny raz (taki jest los przewodnika) Breithorn (4164 m). Ten ostatni szczyt robiliśmy z pierwszej kolejki i podziwialiśmy majestat gór w towarzystwie kilkuset osób. W Berninie weszliśmy na Piz Palu (3905 m) wschodnią granią. W jednym z towarzyszących nam zespołów, po ostrej, śnieżnej grani wędrował pies w uprzęży, regularnie związany liną ze swoim panem. Na koniec wdrapaliśmy się z Piotrkiem na Ankogel (3246 m) w Wysokich Taurach.

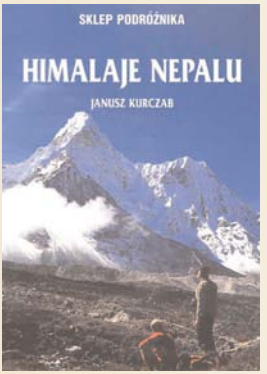
Lipiec
Planowaliśmy z Iwoną wspólny, alpejski urlop we dwoje. Kupiliśmy nawet w tym celu samochód. Ale jak to w Warszawie - ukradli nam auto po 5 dniach. Trzeba było zmienić terminy.

Wrzesień
Nareszcie ruszyliśmy z Iwoną w Alpy. Tym razem pogoda nam sprzyjała (no i auta nam nie ukradli). Najpierw stare porachunki z Hochalmspitze (trawers szczytu). Potem pojechaliśmy w Alpy Karnickie (takie urocze, małe Dolomity). Lało, więc weszliśmy tylko na turystyczny Rauchkofel (2468 m) - vis a vis najwyższego tam wierzchołka (ma niezłą ferratę) - Hoche Warte (2780 m). Potem wróciliśmy w Taury, aby wejść wschodnią flanką na Hochgall (3435 m - kawałek niezłego lodowego kuluaru). Dwa dni później - przy wspaniałych warunkach śniegowych - wspięliśmy się na Konigspitze (3859 m) w Ortlerze. Ostatnie trzy dni spędziliśmy w Otztal. Była lampa, puste góry i doskonały śnieg. Weszliśmy na dwa wierzchołki Ramolkogel - główny (3550 m) i środkowy (3518 m) oraz na Anichspitze (3428 m) - wszystko w 6 godzin. A na koniec był Schalfkogel (3540 m) ze wspaniałą firnową granią.

Gdy wróciliśmy, rzuciłem okiem na nasz wykaz wejść. Iwona była na 118 szczytach w Alpach, ja na 151.

Andrzej Baron Skłodowski (58 lat)

Recenzje

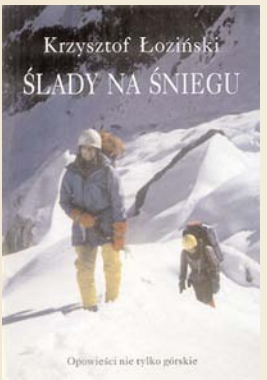


Janusz Kurczab: „Himalaje Nepalu”

W końcu września, nakładem „Sklepu Podróżnika” ukazał się mój nowy przewodnik trekkingowy „Himalaje Nepalu”.

„Himalaje Nepalu” zostały wydane w wygodnym formacie kieszonkowym, identycznym jak przewodniki znanej serii przewodników po Alpach, od szeregu lat wydawanej przez „Sklep Podróżnika”. Nie jest to II wydanie mojego poprzedniego przewodnika - został napisany w zasadzie na nowo, zaś aktualność informacji sięga 2001 r. Znajdziemy w nim 8 krótkich trekkingów w okolicy Kathmandu oraz 49 tras i wariantów wysokogórskich. Oprócz popularnych tras trekkingowych w rodzaju: „Do bazy Everestu” czy „Wokół Annapurny” opisane są również trudniejsze i rzadko powtarzane trasy prowadzące przez dzikie rejony, m.in. Przełęczy Tilmana (Jugal Himal), jeziora Tilitsho (Annapurna Himal), Ganesh Himal, czy Dolpo. Szata graficzna jest znacznie bogatsza: 56 kolorowych fotografii, 21 planów i map oraz 11 profili tras trekkingowych.

Janusz Kurczab



Krzysztof Łoziński: „Ślady na śniegu”

Polecam Wam bardzo ciekawą lekturę. Tym ciekawszą, że napisaną przez mitycznego Łozę - osobę, mającą w naszym środowisku opinię mitomana i jajarza.

Tymczasem książka napisana jest po prostu świetnie. Czyta się ją jednym tchem, co w przypadku literatury górskiej zdarza się niezmiernie rzadko. Łoza umie pisać i na szczęście pisze o rzeczach ciekawych - pomija wątki „rozliczeniowe”, nie dopina się do swoich starych przeciwników i nie zamienia książki w przewód sądu koleżeńskiego. Zamiast tego dostajemy mnóstwo anegdot, ciekawy opis tatrzańskiego życia, trochę historii. Również o swoich osiągnięciach pisze w sposób stosunkowo wyważony i całkiem akceptowalny, choć nie uniknął paru wpadek - przeczytajcie jednak sami i osądźcie.

Jedna rzecz szczególnie mi przypadła do gustu, niewątpliwie w kontekście powstania nowej drogi w linii próby Momy na Ministrancie, co do której Łoza skierował spóźniony nieco apel:

„*Tylko błagam koledzy: zostawcie w domu spity. Na ścianie, która ma tylko sto metrów, na spitach można przejść po prostu wszystko.*”

Przy okazji nasunęła mi się taka myśl - że być może nadchodzi czas na obiektywną ocenę dokonań górskich Łozy. Bo przecież oprócz „łozowania”, „pęknietej żyłki” i „mogę iść, ale będą jaja” rzeczywiście poprowadził Łoza wiele nowych, popularnych dziś dróg (na czele z Szarym Zacięciem), odkrył dla wspinania i w znacznym stopniu zagospodarował obie Czołówki - Mięgusza i Cubryny, a także wydał kilka wartościowych przewodników. Do tych aktywów potomność z pewnością dopisze mu „Ślady na śniegu”.

A.P.

Ach co to był za ślub...



fot. Dorota Piasecka

Poważne serwisy informacyjne donoszą, że warszawski zespół w składzie Agata Buczyńska i Piotr Bucki dokonali pierwszego przejścia nawy głównej kościoła św. Jacka w Warszawie z wyjściem wprost na ołtarz główny. Przejście miało miejsce w dniu ślubu dwójki zakochanych. Część nieoficjalna w klubie „Magnes" zgromadziła liczną rzeszę wspinaczkowej tłuszczy, która po wysłuchaniu wystąpienia Dudusia traktującego o „wyrozumiałości i cierpliwości" (skierowanego głównie do Panny Młodej), oddała się nieskrępowanej zabawie i pijaństwu. Młodej parze składamy życzenia samego szczęścia na nowej drodze życia.
Kochajcie się.



Władysław Cywiński: „Góral z Wilna. Tatry, seks, polityka"

Rzuciłem się na tę książkę z dużymi oczekiwaniami - każdy kto zna Włodka wie, jaką jest kopalnią wiedzy i anegdot o górach. Niekwestionowany autorytet w sprawach topografii ma też swoje oryginalne poglądy na temat ochrony Tatr, którym daje wyraz m.in. w swej serii tatrzańskich przewodników.

Po przeczytaniu książki mam jednak mocno mieszane uczucia. Otóż - jak sugeruje tytuł - w książce przeplatają się wspomnienia górskie z przeżyciami innego rodzaju.

Gdybyż na górach się skończyło!
Byłaby to świetna książka. Pełno w niej historyjek znanych i nieznanych, ciekawostek górskich, dykteryjek. Wiele można się dowiedzieć, czasem porządnie uśmiać. Byłaby to obowiązkowa lektura każdego miłośnika Tatr i taternictwa, prawdziwy kalejdoskop ludzi, osiągnięć i miejsc.

Niestety - ale jest to moje „niestety", w książce pojawia się polityka (seks bym aprobował, ale jest go naprawdę mało, jeśli nie wcale). Swoje dziwaczne poglądy wylewa Włodek na więcej niż połowie stronic „Górala". Wskazuje 2 głównych (jego zdaniem właściwie wyłącznych) winnych dzisiejszego stanu rzeczy w Polsce - kościół i AWS - jakby zapomniał, że kraj nasz i jego ruinę mamy w spadku po komunistach. Tych ostatnich wręcz gloryfikuje („*...uwielbiam Urbana. Za odwagę, znakomitą analizę polityczną, antyklerykalizm i wspaniały język. Oświadczam niniejszym, iż po przypadkowym spotkaniu publicznie pocałowałbym Go w rękę.*"). Natarczywie atakuje papieża (nazywając go „Dżipitu" czyli - jeśli to po angielsku - GP II) i wszelkie przejawy popularności „starca" w Polsce. Wygłasza karkołomne poglądy na temat Izraela i Palestyny oraz czeczeńskich „terrorystów". Z czułością niemal wypowiada się o Leszku Millerze, stawiając go wszem za wzór polityka.

Popsuło mi to wszystko tę książkę, szkoda, że tak ją Włodek postanowił napisać. Całe szczęście jednak, że w górach nie musimy rozmawiać o polityce.
A Włodkowi życzę powodzenia przy kolejnych tomikach przewodnika.
Tej lektury na pewno nie zarzucę.
A.P.

Komunikat Zarządu KW W-wa

W związku z dyskusją na forum internetowym pragniemy przedstawić kolegom nasze stanowisko. Postanowiliśmy wypowiedzieć się otwarcie nie tylko dlatego, że Jacek Fluder jest członkiem KW Warszawa, ale głównie z powodu, że właśnie w środowisku warszawskim sprawa ta wywołała największe emocje.

Komunikat Zarządu KW Warszawa z dnia 15.11.2002 w sprawie artykułu G. Skorka w „Górach" nr 9-10 (wrzesień-październik 2002) i listu otwartego R. Siekluckiego. Przyjęty jednomyślnie.

1. Na podstawie artykułu G. Skorka można odnieść wrażenie, że wyprawa PZA zachowywała się w sposób nieetyczny. Ponadto, postawa zaprezentowana przez autora artykułu może zostać określona jako „cwaniacka".
2. Zarówno postawa autora jak i niektóre zachowania, tak jak zostały opisane w artykule, zasługują na jednoznaczne potępienie.
3. Na podstawie materiałów przekazanych przez Komisję Wypraw możemy stwierdzić, że członkowie wyprawy nie kradli i nie oszukiwali. Przedstawiona interpretacja wydarzeń należy wyłącznie do G. Skorka i w świetle faktów nie znajduje oparcia.
4. Interpretacja artykułu przedstawiona przez R. Siekluckiego w liście otwartym - w części całkowicie słuszna - zawiera jednak fragmenty idące zdecydowanie za daleko i wykracza poza występujące w artykule przesłanki. Apelujemy do R. Siekluckiego o przeproszenie członków wyprawy, którzy mieli prawo poczuć się urażeni.
5. Zwracamy uwagę na niestosowność wypowiedzi J. Fludera i wzywamy go do przeproszenia nie tylko R. Siekluckiego, ale także wszystkich uczestników dyskusji internetowej.
6. Do uczestników forum internetowego kierujemy apel o większą wstrzemięźliwość w ferowaniu osądów i o większą kulturę wypowiedzi na przyszłość.

Zarząd KW Warszawa

Drodzy Koledzy,

We wrześniowym numerze „Gór" ukazał się kontrowersyjny pod względem treści artykuł mojego autorstwa. Przyznaję, że użyta przeze mnie forma artykułu i „nieszczęśliwe sformułowania" mogły niektórych z Was urazić bądź oburzyć.

Szczerze Was za to przepraszam.

Pozwolę sobie jednak zauważyć, że wiele reakcji z Waszej strony było bardzo niesprawiedliwych, a przy tym stawiających w złym świetle pozostałych uczestników wyprawy. Artykuł ten ukazał się w niezależnym od PZA czasopiśmie „Góry" i nie był oficjalnym sprawozdaniem z wyjazdu na Alaskę. Sprawozdanie takowe zostało przesłane wcześniej do Komisji Wypraw.

Grzegorz Skorek

Koleżanki i Koledzy,

Jest sprawą oczywistą, że artykuł Grzesia nie jest żadnym sprawozdaniem z wyprawy lecz jedynie jego własnym punktem widzenia. Choć cieszyliśmy się wszyscy z Krakowskiej Suchej nigdy nie przyszłoby nam do głowy nazywanie debilem kogoś, kto nie zna jej smaku. Ale artykuł jest Grzesia i jego są komentarze - ma w końcu do nich prawo, choć być może sam już żałuje niektórych z nich.

Co do precyzji słów, jeśli kogoś nieprzyzwyczajonego uraziły co niektóre moje, to tym samym chciałbym go przeprosić, wśród nich bliskich Menela.

Jacek Fluder

Nějaká sranda

Jan „Jagon" Gondowicz

Wiosenny alaskański wyjazd czwórki polskich wspinaczy stał się głośny. Lecz nie ze względu na sukces ani też inne okoliczności, choć - jak wiadomo - uczestnicy wyprawy nie popisali się przestrzeganiem miejscowych przepisów, umów i obyczajów. I nie z uwagi na to, że dwaj z nich niezbyt przejęli się losem reszty na sąsiednim lodowcu. I nawet nie z tej racji, że członek ekipy opisał beztrosko ten stan rzeczy w druku. Rzecz w tym, że przez forum internetowe przewaliła się ostra dyskusja. Z jednej strony pyskówka, z drugiej - rachunek sumienia. I to ona jest wydarzeniem.

Napisano - często w ramach jednej wypowiedzi - rzeczy elementarnie słuszne oraz ordynarne, niezręczne i niesprawiedliwe. Nadużywano słów uważanych za obraźliwe i składano przeciwnikom takież propozycje. Starano się usilnie nawzajem pognębić. Odmawiano sobie praw honorowych. Uprawiano demagogię i narodowe darcie szat. Prawo do zabrania głosu uzależniano od wyników sportowych. Rozniecano regionalne animozje. Referowano aberracyjne pomysły, jak sąd na lodowcu. Wyprawę pod szyldem PZA zwano prywatnym urlopem. Składano mętne wyjaśnienia i nie do końca szczere przeprosiny. Wykazywano zacietrzewienie i braki w logicznym wnioskowaniu. Miano kłopoty ze zrozumieniem cudzych i z wyrażeniem własnych myśli. Dawano upust błazeństwom. Rzadko kiedy ma się okazję tak wejrzeć w duszę zbiorową jakiegoś środowiska. Jak to mówią moi partnerzy z południa, *já mám moc rád, když tak lidi blbnou na kvadrát.*

Czymś nowym, co w sprawie i późniejszym sporze szczególnie uderza, jest zanik poczucia koleżeństwa. Wygląda, jakby wszyscy naraz niezbyt lubili się między sobą. Paskudniejsza może od wymysłów jest wszechogarniająca ironia. By nie rzec: brak dobrej woli. Co robią Polacy i wspinacze za granicą i w kraju, jakie się jeszcze ostały zasady etyki górskiej - wszystko to blednie wobec ogólnej nieżyczliwości. Ani grzechy uczestników tego wyjazdu, ani różnice etycznych stanowisk nie były warte tonu, który dzieli ludzi gór, zamiast łączyć.

Jako gość parający się krytyką, czyli zawodowo czytający teksty, widzę, że Grzegorz Skorek w „Górach" wyjaskrawił nieetyczne poczynania, żeby zrównoważyć czymś odniesiony sukces. Żeby nie wyszło, jakie to z uczestników wyprawy gieroje. Że owszem, przygoda niczego, ale też - znów przywołam zwrot z południa - *nějaká sranda*. Znać przecie (także z „defekacyjnego" zdjęcia, które tak oburzyło niektórych), że starał się opowiadać z humorem. I że stylizacja na „drobnych cwaniaczków" była antyheroiczną pozą. Ta właśnie chęć zdystansowania się od dętego stylu oficjalnych relacji kazała mu wspomnieć rzeczy, które aż nazbyt często się robi, lecz z reguły przemilcza. Teraz każdy namyśli się dziesięć razy, nim popuści słowo prawdy.

Co łączy te dwa spostrzeżenia? Na taki sobie humorek zareagowano bez krzty poczucia humoru. Lokatorów lodowca Buckskin należało obśmiać, a nie gromić niedźwiedzią łapą. Może bardziej by zabolało. Tak to kiedyś robiono w koleżeńskim gronie. Pojawili się jednak chętni do przeróbki bliźnich w aniołów. I obudzili w ludziskach diabła. Panowie! Aniołów z nas nijak nie będzie, a bez humoru zeżremy się żywcem. *I to se ví.*

MUZTAGH ATA

W dniu 07.07.2002 na szczycie Muztagh Ata (7546 m) stanęli Wiesław Madejczyk (KW Warszawa) i Marcin Pius (Częstochowa). Było to prawdopodobnie dopiero trzecie polskie wejście na ten szczyt, pierwszego dokonał Ryszard Pawłowski (1998), drugiego Krzysztof Berbeka (2000). Góra nie należy do technicznie trudnych a przeszkodą na drodze normalnej są głównie warunki atmosferyczne - śnieg, wiatr, mróz i wysokość. W ramach tej samej wyprawy próbowano zdobyć najwyższy szczyt Pamiru - Kongur Shan (7719 m). Obaj wspinacze mający za sobą już jedną nieudaną próbę na Kongurze w 1999 roku i tym razem musieli uznać wyższość pamirskiego olbrzyma. Dw.

OBÓZ ZIMOWY 2003 KW WARSZAWA W MORSKIM OKU.

Już po raz piąty Klub organizuje dla swoich członków obóz zimowy w Tatrach. Odbędzie się on w Morskim Oku, rejonie większości dobrze znanym i oferującym zimowe wspinanie na każdym poziomie. Termin wyjazdu 22.09. - 09.03.2002. Do dyspozycji są pokoje w nowym schronisku (po 35 zł) i starym (po 20 zł). Podobnie jak na wcześniejszych wyjazdach, Klub ubezpieczy wszystkich uczestników obozu i dofinansuje w ramach możliwości uczestników obozu z najlepszymi przejściami. Na wyjazd mogą zgłaszać się osoby posiadające Kartę Taternika osobiście (ścianka na Nowowiejskiej w godzinach działania sekretariatu KW) lub za pomocą specjalnego formularza na stronie KW (www.kww.rubikon.pl). Zainteresowani szkoleniem/unifikacją będą mieli do dyspozycji instruktorów i doświadczonych kolegów. (red.)

SEKCJA DZIECIĘCA KW WARSZAWA zaprasza dzieci w wieku 7-15 lat na zajęcia wspinaczkowe, które odbywają się trzy razy w tygodniu; poniedziałki i czwartki 16-18 oraz soboty 12-14, w Centrum Wspinaczkowym „OnSight" - Warszawa ul. Obozowa 60. Poza zajęciami na sali organizowane są wyjazdy i obozy wspinaczkowe.

Więcej informacji można uzyskać u prowadzącej sekcję Małgosi Kusztelak (tel. 502-63-70-72 lub 641-90-43).



Informacje KW Warszawa

Zarząd Klubu Wysokogórskiego Warszawa

Artur Paszczak - Prezes
Zbigniew Skierski - Wiceprezes
Michał Ziółkowski - Wiceprezes (tel. 608-030-150)
Alicja Paszczak - Sekretarz (tel. 022 754-15-38)
Marek Libront - Skarbnik, Sekretarz, Komisja Informacji i Propagandy (tel. 602-637-503)
Krzysztof Wasilewski - Prawnik
Marcin Chmieliński - Komisja Informacji i Propagandy (tel. 022 845-32-69)
Mariusz Wilanowski - Komisja Informacji i Propagandy (tel. 601-416-604)
Marek Czyżewski - Komisja Informacji i Propagandy (tel. 501-000-958)
Joanna Krośkiewicz - Komisja Wspinaczki Sportowej
Grzegorz Graczyk - Komisja Wspinaczki Sportowej

Składki

Jednoroczna składka wynosi:
- dorośli 60 zł + dobrowolna składka na Fundusz Berbeki;
- młodzież ucząca się (do 25 roku życia) 40 zł + dobrowolna składka na Fundusz Berbeki.

Wpisowe do Klubu wynosi równowartość rocznej składki (odpowiednio 60 i 40 zł).

Wyjazdy Klubowe

Co roku Klub Wysokogórski organizuje wyjazdy dla swoich członków, mające na celu podniesienie umiejętności wspinaczkowych oraz międzypokoleniową wymianę doświadczeń. W ostatnim roku odbył się tradycyjnie już obóz zimowy w Dolinie Staroleśnej i letni wyjazd do Chamonix. Także na zbliżający się sezon zaplanowane są wyjazdy, m.in. obóz zimowy w Morskim Oku. Klub stara się też wspierać lub organizować inne wyjazdy członków Klubu.

Ścianki klubowe

Klub wynajmuje obecnie dwie ścianki. Do korzystania ze ścianki upoważnieni są, w trakcie godzin klubowych, wyłącznie jego członkowie mający uregulowane składki za bieżący rok.
Obecnie dostępna jest:
- ścianka w Centrum Wspinania „W Pionie", ul. Nowowiejska 37B - dzień klubowy (sekretariat) we wtorek 19.30-22.00, opłata 10 zł;
- ściana w Hali Sportowej „Koło", ul. Obozowa 60 (dojazd tramwajami 1,12,13,20,23,24, przy-stanek „Magistracka") - dni klubowe, czwartek 20.00 - 22.00 i sobota 16.00 - 18.00, opłata 10 zł.

Zniżki i rabaty

Informujemy, że członkowie KW W-wa mający opłacone składki członkowskie za bieżący rok mogą korzystać z następujących, wynegocjowanych przez klub zniżek:
- w sklepie górskim Kanion, 10% zniżki na zakupione towary (zniżka obowiązuje tylko przy płatności gotówką), sklep mieści się przy ul. Pięknej 68 (przy ul. Emilii Plater);
- w sklepach Rossignol, 10% zniżki na produkty i 20% na usługi. CH Sadyba Best Mall ul. Powsińska 31, Galeria Mokotów ul. Wołoska 12, Stok narciarski Szczęśliwice;
- w sklepie rowerowym PLUS Mountain Bike Shop, 10% zniżki dla członków Klubu za okazaniem legitymacji na rowery i akcesoria oraz 20% na serwis. Warszawa-Ursynów, ul. Zamiany 12.

Kontakt:

Klub Wysokogórski Warszawa
ul. Jankowska 5/12, 02-129 Warszawa
tel. 0 602-637-503 (sekretarz)
tel. 0 602-353-001 (prezes)
fax. 022 754-15-38
e-mail: paszczak@qdnet.pl lub kww@rubikon.pl
sekretariat - wtorki 20.00-22.00 (ul. Nowowiejska 37B)
strona internetowa: www.kww.rubikon.pl
NIP 526-16-90-727
Konto: Millennium Big Bank S.A. 87 1160 2202 0000 0000 1850 2085

Mount&Wave
ROSSIGNOL



Nowa butelka 0,66l
Tylko nie mów,
że Cię to przerasta.

TYSKIE

Pełny smak, pełna satysfakcja.